

Tripla po lubelsku

Włodzimierz Jona

W SRODY, soboty i niedziele, rzadziej we wtorki i piątki, na parking przy zbiegu ulic Buczka i Rusalka liczy się nie zwykłe po południu zajeżdżają samochody i blaszanki, mercedesy i syrenki, z których wysiadają ludzie różni: lekarze i straganiarze inżynierowie i taksówkarze oraz osoby o nieokreślonej profesji. Ciągnie tam również obywatelstwo pieszce, tak lub siak przyodzia- ne, ale raczej nie wyróżniające się elegancją, co oczywiście nic nie oznacza w czasach, w których bogaci udają biednych i odwrotnie.

Co zwabia tych ludzi w to miejsce? Czyżby pobliski oddział Krajowej Agencji Wydawniczej lub spółdzielczy dom towarowy, nieżele wszak wopatrzony? A może baracek gastronomiczny „Rosynant”, cztery dni w tygodniu dysponujący piwem, o które trudno u nas w godzinach popołudniowych?

Skądże znowu! Siłą przyciągającą tego miejsca jest parterowy, schludny lecz prosty budynek z ogromnym szklącym, na którego niebieskim tle wypisano złotymi literami: „Państwowe Tury Wyścigów Konnych — Kasy Totalizatora”. Takim anonsem przedstawia się PT Publiczności ekspozytura lubelska warszawskiego Szulcwca, uruchomiona we wrześniu 1985 roku i pracująca na coraz wyższych obrotach, lokujących ją wśród najżyźniejszych placówek tego rodzaju w Polsce. O ile początkowo uczestnicy zakładów kupowali bilety za 200—300 tys. zł dziennie, to obecnie kwoty te sięgają 500—800 tysięcy. Rekordowy pod tym względem okazał się 16 sierpnia (imieniny Rocha), kiedy do kas totalizatora wpłynęło dokładnie 1 117 750 zł, z czego w formie wygranych wypłacono 312 tysięcy. Ogólniej rzecz biorąc przypomnijmy, że w sezonie minionego roku, zatem od kwietnia do października, wpływy ze sprzedaży biletów wyniosły w sumie 27 mln zł. W tym

Dokończenie na str. 8—9

kamena

NR 21 (893)

18 października 1987

Cena 20 zł



Fot. z telewizora Przemysław Ostrzyżak

Konferencje ministra Urbana

Wiesław Horabik

KTOS ciekawie określili ostatnio konferencje ministra Urbana „obiadami czwartkowymi” dla dziennikarzy. Nie wchodząc zbyt głęboko w rzeczoną analogię, fakt pozostaje faktem, iż rozpoczynają się one w porze lunchu, tj. w samo południe (tak ponoć siadali do obiadu starożytni Polacy), skupiają przy wspólnym stole (w istocie przy dwóch rządach złączonych stolików i w kilkunastu rzędach luźno rozstawionych krzesel) głównie błyskotliwych adeptów pióra, nie chodzi w nich o napychanie żołądków, lecz o informacyjną strawę. Sala „Interpressu”, przeznaczona na ten cel, mieści się na parterze Teatru Wielkiego — gmachu o stanisławowskich konotacjach, a jedyności i satyra polemik nie ustępuje,

jak mniemam, tym z końca osiemnastego wieku. Cele i formuła obu zjawisk pozostają wszakże zupełnie rozbieżne.

Powszechnie już zakodowało się pojęcie „konferencji ministra Urbana”. Wątpię, by kiedykolwiek mógł ktoś w przyszłości powtórzyć ich specjalną jakość. Pomijając w tym przypadku osobowość ich twórcy, są przecież w jakimś sensie odbiciem swego czasu. Spotkania rzecznika polskiego rządu z prasą stały się nowym politycznym zjawiskiem. Piętnastominutowa telewizyjna „pigulka” z ich przebiegu zapadła w społeczną świadomość, wykreowała własne „gwiazdy” a przy tym wciąż zachowuje świeżość w budzeniu emocji. To najbardziej skondensowane źródło informacyjnej wle-

dzy o Polsce; miejsce polemik, korygowania koncepcji i przykład demaskatorskiej pasji. Obrosły już konferencje legendami, anegdotą i plotką. Opowiada się je szeptem i „tak między nami”. Pozostając problemem wciąż zmieniającej się recepcji Polski na świecie, same te recepcje w dużym stopniu kształtują. Nie ma podobnego zjawiska w żadnym innym kraju. (Briefingi Gienadija Gierasimowa są wobec nich późniejsze). Rzecznicy wielu rządów zabierają głos jedynie „od święta”. „Nie rozumiem dlaczego w Polsce tak się uatrakcyjnia pobyt zagranicznym dziennikarzem. Można by nas przecież traktować jak swoistą udrukę” — powiedział jeden z

Dokończenie na str. 6—7

Złączeni pasją poznawania

Rozmowa z Alina i Czesławem Centkiewiczami

W WARSZAWIE na Saskiej Kępie w zielonym, bujnym ogrodzie stoi dom państwa Aliny i Czesława Centkiewiczów. U jego drzwi wita mnie gospodarz i prowadzi przez ciemny korytarzyk do pokoju gościnnego, gdzie wśród starożytnych mebli, miękkich foteli i stosu książek (pozostałość dawnej, bogatej biblioteki) krząta się jego żona. Gospodyni wita mnie serdecznie i podejmuje aromatyczną, wybornie parzoną herbatą. Wiadomo mi z relacji dziennikarskich, że państwo Centkiewiczowie słyną z gościnności iście staropolskiej. Doświadczam tego osobiście. Mimo zmęczenia wizytą gości, którzy odwiedzili ich tego dnia, oboje znajdują dla mnie czas i z uwagą przysłuchują się moim wstępnym wyurzeniom. Zgadniają się z koncepcją chronologicznego ujęcia swego życia i twórczości w wywiadzie, który zamierzam przeprowadzić. Ponieważ wiem, że pierwsze książki pisał samodzielnie Czesław Centkiewicz, a dopiero później, po drugiej wojnie światowej, zawiązał spółkę z żoną, do niego kieruję pierwsze pytania. Z czasem do rozmowy włącza się Alina Centkiewiczowa, która wspaniale uzupeł-

nia suchą, ale jakże treściwą wypowiedź męża. Oto streszczenie mojej długiej rozmowy z Aliną i Czesławem Centkiewiczami.

— Jako młody chłopiec był pan harcerzem i uprawiał bieganie, odnosząc zresztą w tej dziedzinie znaczne sukcesy. Jaki ideał człowieka ukształtowały w panu te młodzieńcze doświadczenia?

Czesław Centkiewicz: — Przynależność do harcerstwa pojmuję jako zobowiązanie. Harcerz nie pali, nie pije, zdążył w potrzebie na ratunek. Prawo harcerskie stało się niejako imperatywem mojego działania, nie tylko w młodości. Poza tym harcerstwo dostarczało wielu wiadomości o świecie otaczającym i uczyło sprawności fizycznej. Nauczyłem się zarówno gotowania, jak też udzielania pomocy lekarskiej. Samych sprawności lekarskich użyskałem pięć. Z kolei czynne uprawianie sportu ugruntowało we mnie bezinteresowność. W sporcie, z jakim się zetknąłem, obowiązywała zasada fair play. Pamiętam, jak w Lesku Bielańskim odbywały się mistrzostwa Polski w biegu na przelaj.

Dokończenie na str. 8—9



Alina i Czesław Centkiewiczowie
Fot. Andrzej Szygowski

z notatnika

6 X. Jan Górec-Rosiński przysłał mi miły liścik z Bydgoszczy, informujący, że przestał już być redaktorem naczelnym „Faktów”; przechodzi na emeryturę i teraz, jak zapowiada, całkowicie poświęci się pracy literackiej. Powodzenia!

Przy różnych okazjach mówiłem, że w naszej grupie pism najdłuższą redaktorem naczelnym jest Władysław Machejek, na drugim miejscu — Jan Górec-Rosiński, a ja w „Kamieniu” mam „medal” brązowy. Po odejściu z „Faktów” Janka skoczyłem na miejsce drugie. Panowie — przyjaciele i nieprzyjaciele — ja jestem o dobrych kilka lat młodszy od Jana Górec-Rosińskiego. Stwierdzam to żartobliwie, ale zdrowie, odpuszczać, jakoś mi jeszcze dopisuje...

W siódmym numerze „Poezji” znalazłem drugą recenzję zbiorku poetyckiego Waldemara Żelaznego z Lublina. „Poetycki świat Waldemara Żelaznego — stwierdza Gmaj (?) — jest światem ponurym, człowieka nie czeka tu nie prócz zagłady”. Są i inne, dosadniejsze, sformułowania (odkrycia Żelaznego „rodem ze szmirkowej piosenki”). Piszę o tym, bo w „Stronach”, redagowanych w „Kamieniu” przez młodych na zasadach niemal autonomicznych, ukazała się niedawno entuzjastyczna recenzja twórczości Żelaznego. Przyznaję, że dałem ją do druku, by nie zniechęcać narzybniku, ale o wierszach Żelaznego mam zdanie identyczne, co autor z „Poezji”.

Zbiorek nosi tytuł: „Pokój z zabawkami”. Są to zabawki dla potworków.

8 X. W belgradzkim dzienniku „Borba” fragment książki Roya Miedwiediewa pt. „Wszyscy ludzie Stalina”.

Po XXI zjeździe Molotow został odwołany ze wszystkich funkcji, a podstawowa organizacja partyjna, do której należał, wykluczyła go z szeregow KPZR. W latach 1963—67 Molotow wychodził często z żoną na spacer u Eczkami Arbatu. Zawsze bardzo żywo rozmawiali, przytuleni tkliwie jedno do drugiego. W 1967 r. jego żona zmarła. Wiaczesław Molotow wygłosił nad jej grobem mowę pogrzebową i było to jego pierwsze i ostatnie wystąpienie publiczne po odejściu na emeryturę.

Moskwianie przechodzili najczęściej obojętnie obok Molotowa. Młodzi ludzie go najwyżej nie rozpoznawali, nie widzieli nawet jego fotografii w gazetach i czasopiśmie. A starzy mówili znajomym: „Wiedzie, wczoraj spotkałem Molotowa. Postarzał się, ale jest jeszcze żwawy. I chodzi bez żadnego ubezpieczenia”. Kiedyś w sklepie na Żukowce ustawiła się kolejka po pomidory. Molotow też stanął w ogonku. Nagle jedna z kobiet opuściła swe miejsce głośno oświadczając, że nie chce stać z nim w kolejce. Molotow bez słowa wyszedł ze sklepu i poszedł do domu.

A znany radziecki artysta Jurij Nikulin jechał pewnego razu swoim samochodem. Na kręweżniku ujrzał starszaka, którego twarz wydała mu się znajoma. Gdy dojechał do niego, poznał Molotowa i zaproponował, że go podwiezie do domu. Żegnając się przed domem Molotow powiedział: „Wzrost mi nie uwiernia, że przywrócił mnie do domu sam Jurij Nikulin!”

Ta ostatnia historyjka, jeśli jest rzeczywiście prawdziwa, bardzo mi się podobała. Pouczająca panowie i towarzysze!

9 X. W środę odbyły się piłkarskie rozgrywki o Puchar Polski. Motor wygrał z Jagiellonią, co po ostatniej przegranej Jagiellonii u siebie z Górnikiem Zabrze zbytnio nie dziwi, aczkolwiek porażka Motoru z Avią za trzy punkty świadczy, że do ligi międzywojewódzkiej jeden krok... To jednak osobne zagadnienie. Łaska kibiców na pstrym koniu jedzie i teraz bardziej będziemy dopingować Avię Swidnik, której wiedzie się coraz lepiej.

Czwartkowy „Sztandar Ludu” ze względów technicznych nie podał innych wyników z rozgrywek, aczkolwiek przeprosił za ów nietakt (bo tak to trzeba nazwać). Prasa warszawska („Trybuna Ludu”, „Życie Warszawy”) o wszystkim dokładnie w czwartek poinformowała i to w tych wydaniach, które i do Lublina dotarły. My w Lublinie mamy nowe maszyny drukarskie, ale prasa warszawska bije nas aktualnością, mimo że ze stolicy jest nieco dłuższa droga do lubelskich kiosków niż z ul. Unickiej.

W piątkowym „Sztandarze” też wszystkich wyników nie znalazłem. Sprytnie napisał (aw): „Wyniki 1/16 Pucharów Polski większość kibiców zapewne już zna”. Dalej — kto odpadł, a kto będzie walczyć, ale jak odpadł, czy jak przeszedł — o tym już ani słowa. No bo skoro „większość kibiców zapewne (! — podkreślenie moje) już (je) zna”, to po diabła o tym informować?

Naprawdę nie czepiam się działu sportowego „Sztandaru Ludu”, sam niegdyś w tymże „Sztandarze” pracowałem i bardzo często, kiedy nie można było zdażyć z czymś do wydania terenowego, murowaliśmy pierwszą czy drugą stronę, aby choć tego lubelskiego czytelnika nie lekceważyli. Prywatnie obdarowuję więc red. aw żółtą kartką. Jako kibic. (Sędzia ową żółtą kartkę też mógłby mu wręczyć, ale to już nie moja sprawa...)

Tymczasem, gdy o piłce mowa: na łamach „Sztandaru Młodych” tekst Józefa Michałka pt. „Zonglerzy”. Chodzi o niejakiego Waldemara Kamińskiego z Lublinianki, którego kapituła Górnik Zabrze. Kamiński może będzie i dobrym piłkarzem, ale uczniem jest kiepskim: z liceum trafił do technikum, a stamtąd do „zawodówki”. Niekiedy, jak pisze Michałek, trzeba było go wręcz wyganiać na lekcje! Teraz w Zabrzu zapewniamy mu naukę w III klasie Zasadniczej Szkoły Mechanicznej oraz internat. Chyba nie tylko to!

„Sprawa Kamińskiego — kończy artykuł Michałek — jest sprawą w toku. Nim poznamy jej finał, może się zdarzyć jeszcze wiele ciekawych rzeczy. Bo choć piłka jest grą prostą, to poza boiskiem rządzią nią bardzo skomplikowane reguły”.

Te wszystkie skomplikowane reguły nie pomogły jednak naszym dzielnym chłopcom. I Śląsk, i GKS Katowice, i Pogoń Szczecin nie wytrzymały konfrontacji z innymi drużynami (szczególnie z Górnikiem, ale... Optymistą nie jestem! Choć chciałbym być!

10 X. Centrum Badań Opinii Społecznej zadalo pewnej grupie osób pyta-

nie: w jaki sposób można się w nas wzbogacić? 65,6 proc. respondentów odpowiedziało, że poprzez wyjazdy do pracy za granicę. Bulwersuje, że uczciwa praca uzyskuje jedynie 17,6 proc. głosów, a wykształcenie zaledwie 12 proc!

Wysłuchałem dzisiaj rano transmutowanego przez radio przemówienia premiera Zbigniewa Messnera na forum sejmowym: była w nim mowa o drugim etapie reformy. Tu i tam słyszę bądź czytam: „trzęsienie ziemi”, „dni, które wstrząsnęły Polską”. Pożyjemy, zobaczymy! Nie, nie należę do tych, którzy wątpią, ale przestałem też wszystko przyjmować bezkrytycznie, bo już nieraz solidnie dostałem po łapach. Najgorszy jest jednak bezruch, a w mętnej wodzie nawet ryby nie czują się najlepiej. Propozycje premiera, a właściwie najwyższych władz państwowych i partyjnych, są interesujące, działają na wyobraźnię. Przynajmniej moją, bo za nikogo wypowiadać się nie mogę.

Przed posiedzeniem Sejmu odbyło się piąte Plenum KC PZPR, właśnie dzisiejsza „Trybuna Ludu” relacjonuje dyskusję. O, nie była ona wcale uciążliwa!

Henryk Leśniak, mistrz-mechanik z Zakładów Azotowych im. F. Dzierżyńskiego w Tarnowie powiedział np.: „Ilu z nas, członków partii, autentycznie utożsamia się z jej polityką, jej programem? Zachowawczość, chęć na przeczekanie jest przecież naturalnym odruchem ludzkim, nie można go jednak tolerować tam, gdzie gra idzie o tak wielką stawkę polityczną i gospodarczą, jak przemodelowanie systemu naszego państwa. Obserwując życie, moglibyśmy się przekonać jak wielu decydentów gospodarczo-administracyjnych popierało i nadal popiera nasze partyjne działania jedynie deklaracyjnie w bogatej zresztą frazeologii wybierając z reformy tylko to, co najwygodniejsze i najprostsze, nie zawsze zgodne ze społecznym zapotrzebowaniem”.

Interesujący wydał mi się głos profesora Zdzisława Cackowskiego, rektora UMCS (fragment tego wystąpienia oglądałem w telewizji: profesor przemawiał ze swadą, miejscami polemicznie): „Kiedy towarzysze premier mówili, że warunkiem skuteczności działań, które tu się zaczyna projektować, jest precyzyjne realizowanie określonego programu, to pomyślałem: nie! Precyzyjnie się nie uda. Nie można takiego kompleksowego programu precyzyjnie realizować. Żeby realizować taką złożony program precyzyjnie, od góry do dołu, trzeba skasować środki nieekonomiczne, które zawsze dają dwuznaczne rezultaty, z pewnymi preferencjami. Trzeba by stosować środki ostre, administracyjne, które już sprawdziliśmy. Więc nie liczę na precyzję. Jestem przekonany, że po drodze trzeba będzie też precyzję w wielu wypadkach modyfikować”. I dalej: „W ostatnich dwóch miesiącach miałem bardzo ciekawe osobiste i razem społeczne doświadczenie, które nauczyło mnie, że ludzie są, albo wszyscy, albo w większości, za reformę. Są za tym, żeby różnicować płace w zależności od pracy i efektów. Prawie wszyscy są — za. Tylko, kiedy są — za: na zebraniach. Dopóki operujemy w płaszczyźnie słowno-propagandowej — wszyscy są za. A jak rozchodzimy się z zebrani i mówimy: no to bierzemy ołówkę, policzmy, co kto daje i kto co powinien dać, to wtedy odzywa się prawie powszechny głos socjalizmu najprymitywniejszego — wszystkim po równo, dla świętego spokoju, a od każdego co łaska...”

Podziwiam ten pogląd profesora, bo sam spotkałem się z podobnymi odczuciami moich rozmówców. Wielu spośród nas obawia się, że drugi etap reformy znacznie się od stulecia przemieszczeni. Ewentualne owoce przyjdą nam zrywać później, ale i tak wycieknie będzie zależało od pogody. Z drugiej strony galopująca inflacja dostatecznie dała się nam we znaki. W Jugosławii nawołują, żeby na banknotach o nominalnej pięciu tysięcy denarów nie było portretu Tity, tak się ów banknot zeznaczył. A co ma mówić nasz Świerczewski na pięćdziesięciozłotówce czy Waryński na setce? Jeszcze Wyspiański może się paszyć, bo Waryńskiego przebijają stokrotnie, ale jak widzę, obserwując wystawy sklepowe, trzeba mieć aż cztery takie banknoty, aby kupić jeden aweter!

Sejm zapowiedział przeprowadzenie referendum. Społeczeństwo ma samo rozstrzygnąć, w jakim stopniu i w jakim tempie zwiększać skuteczność reformowania kraju i demokratyzowanie jego systemu społeczno-politycznego. Czeka nas kolosalna praca: trzeba zachęcić ludzi, by poszli do urn, by dogłębnie przemysłili swoją decyzję. „Co zrobimy — dzielił się na plenum KC swymi obawami Bogdan Kolomyjski, naczelny dyrektor Huty Katowice — jeśli odpowiedź społeczeństwa będzie negatywna? Pozostanie nam wtedy wdrażanie drugiego etapu metodą etapu pierwszego, a więc bez radykalnych, widocznych efektów”.

Mimo wszystko jednak trzeba społeczeństwo zapytać. Zdaję sobie sprawę, że już samo sformułowanie pytania nie będzie sprawą prostą. Dlatego na razie ustalono tylko samą datę przeprowadzenia referendum. Czasu niewiele!

11 X. Fragmenty kabaretu Marcina Wolskiego obejrzałem sobie przed kilkoma dniami na szklanym ekranie, a tak się zdarzyło, że ów słabutki skecz z Andrzejem Zaorskim w roli głównej telewizja pokazała nam już raz, dnia poprzedniego (podczas retransmisji części artystycznej z jubileusz „Wieczoru Wybrzeża”). Do dwóch razy sztuka? Przed pokazaniem (fragmentów) kabaretu telewizja przypomniała nam samego pana Wolskiego, który coś tam powiedział, ale nie musiało to być specjalnie ważne, bo nie zapamiętałem. Nie wiem, czy to już czasy nie te, czy człowiek ma po uszy tej kabaretowej gry do jednej bramki, ale nie zachwycił mnie też i program Smoleńca pt. „Wykopalka”, który w ramach „Prezentacji” ściągnęła do Lublina Estrada Lubelska. Estrada, tradycyjnie już, nie zafundowała „Kamieniu” biletów na te i inne imprezy, ale to osobna sprawa. Nawet, gdyby te bilety do „Kamienia” trafiły, moje zdanie byłoby takie samo. Inna rzecz, że Smoleń ów program trzymał. Ów program w gruncie rzeczy spóźniony o lat... Może nawet nie lat, ale o epokę!

Uśmiełem się natomiast, kiedy, wracając, ujrzałem w pawilonach przy Wileńskiej... neon z napisem „Miś”. Niedawno dwie panie zbudowały i otworzyły punkt malej gastronomii (ładnie to brzmi!). Minęło kilka miesięcy i już jest neon! Brawo, zrobiło się jakoś weselej. Inne placówki handlowe istnieją tu długo, ale jakoś o neonie nikt nie pomyślał.

Dwie panie oświetliły tym neonem początek drugiego etapu reformy gospodarczej. Błysnęło optymizmem!

M. A. Jaworski

KRONIKA KULTURALNA

W Bilgoraju odsłonięto pomnik Józefa Dechnika, wybitnego działacza politycznego (PPR, PZPR), który dysponując niezwykłą wrażliwością społeczną i etyczną, zmysłem organizatorskim i odwagą cywilną, nadał miastu współczesny kształt cywilizacyjny. Autorem monumentu z portretowym popiersiem Dechnika jest doc. Sławomir Mielecki z UMCS.

„Wykopalka” czyli „Komedia antyczna” Krzysztofa Jasłara to przedstawienie, które 8 października zainaugurowało „Prezentację 77” w Lublinie. W programie tegorocznej imprezy, posiadającej wieloletnią i piękną tradycję znalazły się po-

nadto występy warszawskiego Teatru „Stara Prochownia” (monodram „Znowu chyba odważ się kochać”), Pantomimy Wrocławskiej („Sen nocy letniej” wg Szekspira), zespołu estradowego wojsk lotniczych „Eskadra”, harcerskiej „Gawedy”, Alcji Majewskiej, Polskiego Teatru Tańca, „Budki Suflera” i in. Spektakle i koncerty „Prezentacji” obejrzą też mieszkańcy kilku innych miast makroregionu.

Prawie 20 mln zł kosztować będzie rekonstrukcja zabytkowego parku należącego do państwa z generalnym uporządkowaniem tego terenu. Zatwierdzona niedawno koncepcja prac przygotowała Anna Obrębska z lubelskich PKZ. Natomiast w Łęcznej trwa renowacja konserwatorski klasycystyczny budynek b. ratusza, wzniesionego w połowie minionego stulecia, który zniszczony podczas II wojny odbudowany został w latach sześćdziesiątych, no a teraz znów wymaga pomocy, choć nie miesiąc magazynu nawozów sztucznych, lecz Urząd Stanu Cywilnego.

W początkach października lubelski Teatr Muzyczny, korzystający z sali Domu Kultury LSM, wystąpił z premierą

dwóch jednoaktowych oper komicznych Offenbacha: „Kotka przemieniona w kobietę” i „Salon pana Wzdekiego”, w reżyserii Lecha Emfazego Stefańskiego. Dodajmy, że w tym roku miało 40 lat działalności naszej sceny muzycznej, gorąco przyjmowanej i na Śląsku, gdzie od dawna występuje gościnnie.

Galeria Sztuki Współczesnej w Zamostcu prezentuje twórczość Piotra Kmiecica, pulawski „Dom Chemika” — malarstwo ze zbiorów Stołecznego BWA, Lubelski Dom Kultury — prace plastyczne członków Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych, Muzeum UMCS — grafiki i rysunki pod ogólnym tytułem „Lublin w ikonografii” (od połowy XIX w. po dzień dzisiejszy). Stowarzyszenie Architektów Polskich w lokalu przy Grodzkiej — fotografie przedstawiające „Architekturę Starożytną”. Warto też odnotować, że po dwuletniej przerwie wznowiła działalność galeria ES przy Miejskim Ośrodku Kultury w Miedzyrzeczu Podlaskim.

W siedzibie Lubelskiego Towarzystwa Naukowego rozpoczął się drugi cykl tzw. Wykładów Czwartkowych przy Kominku,

poświęcony postaciom i problemom z dziejów miasta. Sympatyczną i pożyteczną imprezę otworzyła (8 bm.) prelekcja prof. Jana Malarczyka z UMCS, który omówił myśl społeczno-polityczną Biegana z Lublina.

Niedawne „Dni Brzeźcia w Lublinie” pozostawiły dobre wspomnienia u nadbystrzyckiej publiczności oraz coś, co może warto by naśladować. Chodzi o wydawnictwo pt. „Brzeźcie. Słownik encyklopedyczny” przekazane przez gości w podarunek, wykonane przez gości w podarunek, wykonane przez gości w podarunek. Ta różnorodność instytucji i osobom. Ta różnorodność technicznie i ładna książka (twarzą okładki w kolorze wiśniowym, złocista litera tytułu) ukazała się w tym roku, na nakładzie 53 tys. egzemplarzy. Licząc 400 stron druku, 240 ilustracji w tekście i 76 na planszach. Historia i współczesność, kultura i gospodarka, nauka i sport, architektura i handel, pomniki i ulice. Informacje biograficzne i klimatyczne. Literatura i sztuka — oto zakres tematyczny tej publikacji zbudowanej z setek haseł i pobudzającej apetyt na własne wydawnictwo pt. „Lublin — słownik encyklopedyczny” (albo coś w tym rodzaju).

WERDYKT jury tegorocznego XII Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych był wyjątkowo trafny i — jak rzadko kiedy — zebrana w sali Teatru Muzycznego w Gdyni publiczność nagrodziła go naprawdę szczerymi, gorącymi oklaskami. Grand Prix, „Złote Lwy Gdańskie”, przyznano „Małce Królów” Janusza Zaorskiego. Nagrodę Specjalną jury — „Magnatowi” Filipa Bajona. „Srebrne Lwy Gdańskie” podzielono — znowu słusznie! — pomiędzy aż pięć filmów. Otrzymał je — Krzysztof Gruber za reżyserię telewizyjnej „Sali nr 6”, Marek Kotlerki za „Życie wewnętrzne”, Waldemar Dziński za — przeznaczony dla

stry sposób — realiów naszego codziennego polskiego bytowania. Do tych trzech filmów doręczymy jeszcze — z zachowaniem jednak pewnego dystansu — „Pociąg do Hollywood” Radosława Piwowarskiego, obraz jakoś nie dostrzeżony na festiwalu (jedynie grający w nim Jerzy Stuhr otrzymał nagrodę za najlepszą męską rolę drugoplanową), będący zresztą zrobioną, naprawdę zabawną komedią. Skądinąd od dobrych kilku tygodni ściga „Pociąg” do sal kinowych tłumy młodzieży. Jeżeli zaś już mowa o frekwencji na polskich filmach, to chyba zapewni ją „Między ustami a brzegiem pucharu” Zbigniewa Kuźmińskiego. Film nakręcony — jak podkreślają jego twórcy — w e-

dyturg wyjątkowo z Wodra Kule wyjątkowo z bólu powstańcowi. Z kolei w „Życiu wewnętrznym” bohater snuje sobie nocami takie marzenia sennie, w różnych, tyleż efektownych co skomplikowanych ekwilibrystycznie męsko-damskich układach, że podejrzewam, iż wysoka frekwencja młodzieży na tym filmie wynika wcale nie z jego ogólnego, ambitnego przesłania... Inna sprawa, że w „Życiu wewnętrznym” erotyka jest logicznie wkomponowana w pomysł, „ideologię” i cała w ogóle konstrukcję tego filmu, a nie stanowi brzytwej — jak gdzie indziej — mediowych, przydał Kuźmiński starej

mediowych, przydał Kuźmiński starej opowieści zawieszanej przez Rodziewiczównę „między ustami a brzegiem pucharu” (czyli ostatecznym spełnieniem marzeń i dążeń bohatera książki — tak zwanej „lekkoci” i „czarującej lineyżności”. I w ten oto sposób cała historia, nigdy z takim zarem i z taką pasją opowiedziana przez Rodziewiczównę, mówiącą o walce Polaków z zaborcą pruskim z konsekwentnym wynarodowianiem, jakoś straciła na swojej dawnej ostrości: stała się „sympatyczną” opowieścią o pewnym rozdawkowym, erotycznie sympatycznym młodzieńcu, który nad podziw szybko wyżywa się swoich antypolskich uprzedzeń i zostaje, w związku z tym, przyjęty na łono polskiej rodziny. Czemu już tylko mogą ze łzami wzruszenia w oczach przyklasnąć radośnie zarówno Po-

Dokąd zmierza polskie kino?

Mirosław Derecki

młodzieżowej widowni — film „Cudowne dziecko”, Tadeusz Chmielewski za reżyserię „Wiernej rzeki” oraz Krzysztof Kieślowski za scenariusz „Przypadku”, „Brazowe Lwy Gdańskie” — za debiut kinowy otrzymał Waldemar Dziński za film „W zawieszaniu”. Nie będę tutaj wymieniał całego wachlarza różnych innych nagród, ponieważ pełny tekst werdyktu jury podał już wcześniej prasa codzienna. Warto tylko może przypomnieć, że najwyższą nagrodę za kreację aktorską przyznano Magdzie Teresie Wójcik, odtwórczyni głównej roli w „Małce Królów”, oraz Bogusławowi Lindzie — za rolę w „Przypadku” i „Magnacie”. I jeżeli można by mieć jakieś pretensje do jury, to jedynie z powodu niedostrzeżenia szeregu naprawdę doskonałych kreacji, w rolach drugoplanowych. Henryka Bisty, którego postać przewijała się wciąż w tegorocznych festiwalowych filmach, osiągając swoiste apogeum w „Między ustami a brzegiem pucharu” Zbigniewa Kuźmińskiego. Te pochwały na temat wyjątkowo trafnego werdyktu jury nie oznaczają, niestety, że również sam tegoroczny festiwal był na najwyższym poziomie. Na dwadzieścia sześć zaprezentowanych w konkursie filmów kinowych i telewizyjnych zbyt mało przypadło dzieł naprawdę udanych i zrobionych. Z ośmiu pokazanych filmów telewizyjnych rzeczywiście udany był tylko jeden: „Sala nr 6” Krzysztofa Grubera. Zawiedli zarówno Feliks Falk swoim telewizyjnym „Nieproszonym gościem”, jak i Wiesław Saniewski, interesującym w zamierzeniu, ale bardzo nierównym „Wolnym strzelcem”. Zresztą do Saniewskiego trudno nawet mieć pretensję: jego film był debiutem reżyserskim, został nakręcony w 1981 r. (gdy twórcą późniejszego doskonałego „Nadzoru” zdobywał dopiero pierwsze zawodowe szlify) i przeleżał następnie przez sześć lat „na półkach”. Pokazanie go obecnie w konkursie dało niewątpliwie satysfakcję reżyserowi. Ale też „cofnęło” go niejako wobec jego późniejszych, o wiele bardziej dojrzałych filmów. Ja, osobiście, wolalbym obejrzeć „Wolnego strzelca” na jakimś przeglądzie retrospektywnym filmów Saniewskiego, jako pierwsze ogniwo w rozwoju artystycznym tego bardzo przeze mnie lubianego i cenionego twórcy. Skądinąd „Wolny strzelec” należy do tej grupy filmów, które uratowały poziom tegorocznego festiwalu; były to zaś wszystko dotychczasowe „półkowniki” w liczbie aż pięciu (!) tytułów: „Małca Królów” Zaorskiego, „Niedzielne igraszki” Roberta Glińskiego, „Przypadek” Kieślowskiego, „Wierna rzeka” Tadeusza Chmielewskiego i „Wolny strzelec”. Natomiast prawdziwym osiągnięciem polskiej produkcji filmowej z ostatnich dwunastu miesięcy wydają się jedynie — „Magnat” Bajona, debiut Waldemara Krzystka „W zawieszaniu” (z doskonałymi kreacjami aktorskimi Krystyny Jandy i Jerzego Radziwiłowicza) oraz „Życie wewnętrzne” Marka Kotlerkiego, niezwykle interesującej osobowością artystyczną. Człowieka wyznaczającego nowe szczyty w polskim kinie, posługującego się językiem na wpół abstrakcyjnym, ponurej groteski dla pokazania — w tym bardziej o-

dług powieści Marii Rodziewiczówny (i szczerze podkreślają, że bez tego Rodziewiczówna pewnie by się w grobie przewróciła z nadmiaru wrażeń). Ale o tym filmie — w stosownym miejscu... Jeżeli chodzi o filmy, jakie sprawiły mi (a chyba także i większości widzów uczestniczących w festiwalowych przeglądach) największy zawód, były to: „O rany, nie się nie stało!!!”, komedia rokulająca dotychczas jak najlepsze nadzieje, młodego reżysera Waldemara Szarka, związanego ze

nieraz na siłę, efektownej „przybudówce” do nijakiej „bazy”. O tym, że można przez półtorej godziny trzymać w absolutnym napięciu widownię, zamykając akcję w czterech ścianach piwnicy, a ekipę aktorską ograniczając właściwie (przez większość filmu) do dwójga jedynie osób. („W zawieszaniu” to opowieść o ukrywającym się przez kilka lat w piwnicy zbiegłym z więzienia AK-owcu w o-

lacy, jak i Niemcy, w myśi staropolskiego zawołania: „kochajmy się!”. Na plus Kuźmińskiemu trzeba zapisać, że film jest zrobiony z wprawą, wyreżyserowany dynamicznie, efektownie, i jest w ogóle „ładny”. Co — jak mówiłem — może zapewnić mu masową widownię. Tak więc, jeżeli ekranowe dokonania wymierzaloby się tylko ilością złotych, Kuźmiński zapewne trafił w dziesiątkę. Zupełnie inny ciężar gatunkowy charakteryzuje „Magnat” Filipa Bajona. Film również — jak „Między ustami a brzegiem pucharu” — sięgający w głąb historii, „kostiumowy”, i również dotyczący spraw i problemów polsko-niemieckich. Bajon sięgnął tutaj do historii książąt pszczyńskich von Pleussów, zmieniając zresztą w filmie ich nazwisko rodowe — dla zapewnienia sobie pewnych dowolności w fabule — na von Teuss. Rozgrywająca się w okresie czterdziestu niespełna lat akcja „Magnata” (od roku 1900 do ostatniego okresu poprzedzającego wybuch II wojny światowej) to — w szerokim rozumieniu — opowieść o ludziach z pogranicza: polsko-niemieckiego pogranicza politycznego, historycznego, kulturowego. Centralną postacią filmu jest książę pszczyński Hans von Teuss, wielki arystokrata, właściciel tysięcy hektarów pól uprawnych i lasów, licznych kopalń i zakładów przemysłowych. Potomek trzynasto-wiecznych niemieckich krzyżowców i starych polskich książęcych śląskich rodów, uważa się książę za coś w rodzaju „ponadpaństwowca”. Pana należącego do niego „ziemi i ludzi”, rządzącego nimi w dawny, patriarchalny sposób. Jeden z synów księcia uważa się za Polaka, inny związany jest z kulturą niemiecką, jeszcze inny zgłasza akces, ku wielkiemu oburzeniu magnata, do rosnącej coraz bardziej w siłę hitlerowskiej NSDAP. Dramaty rodziny von Teussów, często niezwykle skandaliczne (jak np. romans drugiej żony księcia z jego synem z pierwszego małżeństwa, Bolkem), rzucone są na szerokie (to miejscowych uwarunkowań społecznych (walka górników o swoje prawa), politycznych (powstania śląskie w latach dwudziestych) i narodowościowych. Film Bajona, nakręcony z ogromnym dynamizmem, fotografowany w autentycznych wnętrzach pałacu w Pszczynie i doskonale zagrany przez czołówkę polskich aktorów (postać tytułowego magnata gra Jan Nowicki, rolę jego synów odtwarzają: Olgierd Łukaszewicz, Jan Englert i Bogusław Linda, postać drugiej żony księcia, Mariscy de Bodego, kreuje Grażyna Szapolowska), film ten, trwający trzy godziny (!), ogląda się prawie „jednym tchem”, nie zauważając mijającego czasu. Niektórzy mieli do zarzucenia Bajonowi, że „Magnat” to jakieś naciągane widowisko Viscontiego, iż jest w nim zbyt wiele z atmosfery „Zmierzchu bogów” itp. Ja osobiście uważam „Magnata” za film całkowicie autentyczny, wynikający z oryginalnej twórczej osobowości Filipa Bajona. Reżysera w pełni kreatywnego, ory-



Z filmu „Wierna rzeka”

Studium im. Karola Irzykowskiego; ambitna w zamierzeniu, ale, niestety, zupełnie niudana w realizacji „Maskarada” Janusza Kijowskiego (jakże daleko „Maskaradzie” do świetnego „Indeksu” i wcześniejszego dokumentu „Z. K. Sieradz”) oraz ciągnąca się w nieskończoność, w sumie nudna (mimo „ostrych” wtrętów rozbieranekowo-erotycznych) „Śmierć Johana L.” Tomasza Zygadły, będąca zdecydowanym regresem wobec ubiegłorocznych „Scen dziecięcych z życia prowincji” tego reżysera. Co do telewizyjnego filmu Franciszka Trzeciaka „Ojcowizna” — wykładającego metodą „kawy na ławę” konieczność pozostawiania chłopskich dzieci w wsi w celu kontynuowania pracy i dorobku ich rodziców — to, mimo iż jak najbardziej się z reżyserem zgadzam w tej materii, i mimo nawet całego mojego lokalnego patriotyzmu (film był kręcony na Lubelszczyźnie, z udziałem wielu lubelskich aktorów), jeszcze raz utwierdziłem się w przekonaniu, że Trzeciak powinien grać w filmach, natomiast nigdy — kręcić filmy! Żeby zakończyć te ogólne uwagi, warto może jeszcze zauważyć, że bardzo wielu twórców ostatnio powstałych filmów wydaje się szukać panaceum na przeciwnie publicystycznej do kin w mnożeniu scen „negliżowych” i coraz bardziej „śniatych” scen erotycznych, co na przykład w „Luku Erosa” (nomen-omen!) Jerzego Domaradzkiego niewątpliwie jakos tam ożywiła prawie dwugodzinna ekranowa nuda tej filmowej transpozycji znanej powieści „Luk” Juliusza Kaden-Bandrowskiego, ale niestety, nie ratuje samego filmu. W „półkownikowej”, „Wiernej rzeki” Chmielewskiego mamy natomiast stosowny „przerywnik” w postaci efektownego strip-tease'u panny Salomei obok zaimprovizowanego stołu operacyjnego, na którym przed chwilą

kręsie stalinowskim, i ukrywającej go żonie) i że może to być równocześnie film polityczny, psychologiczny, lecz także „miłosny” (choć bez bezustannego zakładania nóg na żyrandol) — przekonał nas tak mało jeszcze doświadczony debiutant, jak Waldemar Krzystek. Natomiast twórcy już obeznanemu z warształem filmowym, jak reżyser Zbigniew Kuźmiński, wydawało się widocznie, że opowieść Marii Rodziewiczówny o szlachetnej polskiej panience z wielkopolskiego dworu, skutecznie opierającej się zakusom pruskiego arystokraty (choć z matki Polki zrodzonego), która to bezkompromisowa postawa zaowocuje, w efekcie, nawróceniem się przystojnego, lecz pustego i zimnego bon-vivanta, kobięciarza i hulaki już nie tylko na żywot moralny, ale jeszcze w dodatku na polskość, że taka opowieść nikogo nie zainteresuje. Rozbudował więc niepomiernie — w stosunku do akcji powieści Rodziewiczówny — walek stosunków łączących Wentzela z piękna, lecz rozpostną żoną admirała, Aurorą. (Tu stosowne, mnogie sceny przyspieszające krążenie krwi!). Wprowadził również liczne sceny z mniej już „arystokratycznych” miłostek bohatera w berlińskich kabareto-szantaniach z końca ubiegłego stulecia. A żeby już nie zwalać wszystkich trudów miłosnych na barki Prusaczek, dosypał jeszcze obficie pierzchu w wątku ogniściego romansu Wentzela z piękną Polką, żoną jego plenipotentką. Dalej — dzięki wyraźnie komediowemu ustawieniu roli kamerdynera Franzka (zresztą doskonale zagranego przez Henryka Bistę), i w ogóle wprowadzeniu szeregu scen i wątków ko-

Dokończenie na str. 11

UKAZUJĄCY się co dwa tygodnie w zachodniemieckim Recklinghausen „Głos polski”, wydawany przez Związek Polaków „Zgoda” w RFN, opublikował niedawno (nr 16/87) artykuł pod zacytowanym tytułem, którego etyczna sugestia i znak zapytania zdają się być czymś w rodzaju autorskiej zachęty do polemiki z jego stwierdzeniami, zawartymi w tekście. Nic w tym dziwnego, bo problem poruszony przez P.W. jest tyle dramatyczny, co wstydlivy, dotyczy atrofii poczucia świadomości i solidarności narodowej wśród Polaków zamieszkałych w RFN.

Sądzić należy, że i czytelnik prasy krajowej z zakłopotaniem przyjmie uwagi naszego rodaka, albowiem naruszają one pewien stereotyp polonijny, ubrany przez dziennikarzy w stroje krakowskie, łowicze czy góralskie, etebnowane uczuciem, krzepą, wiernością i tęsknotą. Taki model umacniają też redaktorzy naszych wydawnictw, kierowanych w stronę Polonii, którzy chwając się dziękczynną korespondencją od pojedynczych czytelników owych czasopism, nierzadko zresztą sprawnie redagowanych, pochopnie wyciągają wnioski o pożytkach i światowym znaczeniu efektów swojego trudu.

Tymczasem rzeczywistość jest bardziej skomplikowana, a miejscami wręcz smutna. Przypomnijmy tylko, że bezpośrednio po zakończeniu II wojny w zachodnich strefach B. Rzeszy ukazywało się 400 tytułów prasy polskiej, a zaledwie kilka lat później — już wielokrotnie mniej, bo 38. O ile redukcja taka znajduje wytłumaczenie, o tyle trudno doprawdy pojąć, jak to się stało, że obecnie w RFN wychodzą tylko trzy czasopisma: wspomniany „Głos polski” oraz „Ogniwo” Związku Polaków w Niemczech i „Ostatnie Wiadomości” Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w Niemczech. Pierwsze z nich liczy raptem cztery strony, dwa następne ukazują się nieregularnie. Nakład tych tytułów waha się w granicach 2—2,5 tys. egzemplarzy, podczas gdy Polonia w tym kraju, zgodnie z bardzo nieprecyzyjnym z komieczności szacunkiem, obejmuje jakieś 200 tys. osób, z czego 10 proc. należy do ponad 20 różnych stowarzyszeń i związków, wśród których najliczniejsza jest „Zgoda”, skupiająca podobno 10 tys. członków.

Wymienione pisma utrzymują się tylko dzięki dotacjom własnych organizacji polonijnych i trudno powiedzieć, jak długo jeszcze pociągną. A

nowością 1888-go nr. „Głos polski” mogłaby okazać się fatalna w skutkach, choć to właściwie skromna gazetka o niskim nakładzie — jakoś tam przecież integrująca członków „Zgody”, przynajmniej tych bardziej aktywnych, i od czasu do czasu zamieszczająca całkiem interesujące publikacje: Jana Fajngera, Pauliny Lemke i innych autorów.

Niskie nakłady wspomnianych tytułów nie pozostają przy tym w żadnym związku z naszymi czasopismami o profilu polonijnym, które ślemy do RFN. Te efektowne, kolorowe wydaw-

stwoj fundacji (a jestem wieloletnim prezesem ZPU, Lech) mam do czynienia z wieloma podobnymi związkami, zarówno polskimi jak i innych narodowości. Jest więc okazja do porównań, robię je i one właśnie spowodowały mnie do przekazania refleksji, które mnie martwią i napawają głębią troską, gdyż nigdzie indziej a tylko wśród nas spotkałem się z przejawami nienawiści, zazdrości i zawiści. Nie ma w RFN większego miasta, w którym nie byłoby organizacji polonijnej, czasami jest ich parę, np. Mannheim, ale współżyją one z sobą

często także rodziny; po przekroczeniu progu zalega na ogół milczenie, wstydzą się rozmawiać ze mną w języku, którego ich matka nauczyła — smutne to, ale prawdziwe.

Mówimy wiele o naszej ojczyźnie — Polsce, a cóż my dla niej robimy? Czyż nie warto postawić sobie dzisiaj tego pytania? Jak możemy czuć się dobrymi Polakami, skoro wiele naszych dzieci nie mówi już po polsku. My sami o to nie dbamy i nie staramy się ich sami uczyć, bądź nie posyłamy ich do szkoły na naukę języka polskiego.

Jestem prezesem „Lecha” a nie politykiem i nie lubię owijania spraw w bawełnę, toteż stwierdzam na podstawie własnych obserwacji, że aktywność młodego pokolenia jest za słaba, wiele słabsza niż pokolenia, które tworzyło w RFN związki polonijne i dążyło do utrwalenia ich działalności. Co jest przyczyną? Na pewno świat stał się bardziej komercyjny i wygodny. Dziś wiele potrzeb kulturalnych zaspokaja telewizja a jeszcze młodym ludziom podaje się niemalże do łapa. Nie znaczy to, że chcą powrotu do starych czasów, ale złość: małe wygodnictwo i beczynność. [...]

Smutne to, ale prawdziwe, a może jestem zbyt wielkim pesymistą?

Komentarze tych gorzkich wyznań wydaje się zbyt techniczne. Narzuca się przecież pytanie o drogę, o całą drogę, jaką doprowadzić przynajmniej znaczną część najnowszej emigracji do takiego skundlenia poczucia narodowego. Owszem, każdy człowiek ma prawo do wolnego wyboru ojczyzny, języka i kultury, ale nierzadko ważny jest przecież sposób, w jaki dokonuje się owego wyboru, nie mówiąc już o bardziej konkretnych zobowiązaniach wobec kraju rodzinnego, w którym tanim kosztem uzyskało się np. wyższe wykształcenie. A jednocześnie chciałoby się zapytać, dlaczego polską świadomość narodową reprezentują dziś w RFN głównie byli dipłomi — żołnierze pomocniczych Oddziałów Wartowniczych, powołanych przez zachodnich aliantów wkrótce po zakończeniu II wojny, w których z życiowej konieczności służyło wielu Polaków, wśród nich — Czesław Szablewski, obecnie (od wielu lat) prezes jednej z gromad „Zgody” w Kassel, człowiek godzien najwyższego szacunku, odważny i pełen inicjatywy, legitymujący się naszym paszportem konsularnym, choć trafił do Niemiec, na roboty, już podczas wojny...

Dlaczego?

Ireneusz J. Kamiński

„WSTYD?”

nięstwa odkładane są tam „na półkę” i sam mogą wskazać miejsce, w którym leżą pod warstwą kurzu.

Oddajmy jednak głos P.W., który tak rozpoczyna swój artykuł:

„Polacy, którzy po zakończeniu II wojny światowej pozostali w RFN, czując potrzebę zachowania swej odrębności narodowej założyli wiele związków i stowarzyszeń polonijnych, których głównym i jedynym zadaniem było niedopuszczenie do wynarodowienia się ich samych oraz ich dzieci.

Związki te charakteryzowała prężna organizacja, która poprzez pielęgnowanie i utrwalanie polskiej kultury, obyczajów i oświaty doprowadziła do tego, że dzisiaj, po przeszło czterdziestu dwu latach pobytu poza granicami kraju, prawie wszyscy nasi członkowie z tamtego czasu, obecnie większość to ludzie w wieku emerytalnym, nie zapomnieli polskiego języka, mówią dobrze po polsku i są w stanie przekazać swemu środowisku polskości [...].

Z dnia na dzień jednakże działaczy tych jest coraz mniej i zaczynam się niepokoić tym, jak w przyszłości będą wyglądać nasze związki polonijne? Szczególnie obserwacja ostatnich lat od 1980 roku napawa mnie głęboką troską.

Ja osobiście mieszkam w RFN od czterdziestu pięciu lat. [...] Z tytułu

jak przysłowiowy »pies z kotem«, bez żadnej wzajemnej współpracy, bez koordynacji swoich poczynań i wysiłków. Nigdy jeszcze nie spotkałem się z przypadkiem, aby w tramwaju, pociągu lub innym miejscu publicznym Turek do Turka, Grek do Greka, Włoch do Włocha mówili po niemiecku. Z Polakami natomiast jest odwrotnie, oraz częściej słyszy się naszych rodaków rozmawiających ze sobą po niemiecku, przy czym nie są to bynajmniej sytuacje wymuszone [...].

Przypominam sobie, że w czasie wojny my, Polacy, tu w Niemczech musieliśmy nosić »P« na lewej piersi i nie wolno nam było spotykać się razem i w ogóle rozmawiać po polsku — a dzisiaj?

Wyda mi się, że dzisiaj wielu z nas wstydi się ojczystego języka, wstydi się swego pochodzenia i chciałoby za wszelką cenę uchodzić za rdzennych Niemców. [...]

Zdarzenia polityczne i ekonomiczne ostatniego dziesięciolecia wywołały falę »młodej« emigracji, która rozplynęła się po wszystkich kontynentach. Spora część tej »fali« zatrzymała się w RFN. Są to ludzie przeważnie wykształceni, często całe rodziny. Ja znam kilka polskich rodzin z dziećmi, w których rodzice jeszcze niewiele, bądź też mówią ęle po niemiecku, a ich dzieci już nie potrafią mówić po polsku. Odwiedzam dosyć

Okolice sztuki Miliony rąk

MILIONY rąk, tysiące rąk, a serce bije jedno — śpiewało moje pokolenie w latach młodości, będąc przekonane, że nie zna granic ni kordonów pieśni zew.

Zapomniane to dziś piosenki, a młodzi ludzie, którzy licznie oglądają wystawę „Oblicza socrealizmu” w warszawskim Muzeum Narodowym, z nie ukrywaniem rozbawieniem wsłuchują się w takie teksty, nadawane z głosińców dla akustycznego dookreślenia „klimatu epoki”, która w zgodnej opinii wydawnictw wszystkich obiegów jawi się jako straszna, zanurzona w totalnej bojaźni i zakłamaniu, gdy po prawdzie była raczej dramatycznie skomplikowana, nie wolna od miejsc mrocznych, ale też nie pozbawiona autentycznego entuzjazmu i radości. Swego czasu sam Kisiel zrywał się na jednostronnie negatywne oceny tamtych czasów, ale cóż, my, Polacy, lubim przesadę i jakoś chętnie amputujemy własną tradycję do potworkowych stereotypów. Jak kiedyś głośno, że II Rzeczpospolita i Piłsudski to jedno wielkie draństwo, tak obecnie chętnie i bezrozumnie gloryfikuje się ten ten okres i jego prominentów, w obu przypadkach popełniając ten sam błąd: politycznego zacietrzewienia. W rezultacie świadomość narodoła liczących grup społecznych, szczególnie zaś młodego pokolenia, jest rozchwiana, galaretowata, podatna na ekstremalne oferty ideowe i wizje świata wreszcie uporządkowanego wedle racji absolutnych, albo też skłonna do barykadowania się w azylu obojętności i prywaty. Kiedy wreszcie zrozumimy, że nasze jest dobro i zło, a ujmowanie życia w barwach bielei i czerni przystoi tylko fotografom z prowincjonalnych zakładów, jedynie takim, albowiem ich sprawniejsi krewniacy wiedzą dobrze, że prawda mieści się w walorowych niuansach.

Większość młodzieży zwiedzającej wystawę w Muzeum Narodowym chce przed obrazami, rzeźbami czy zdjęciami, co musi radować osoby,

które od lat publicznie uprawiały prześmiewczą „interpretację” tej sztuki, nie dopuszczając myśli, że realizm socjalistyczny był fenomenem poważnym, o skutkach obserwowanych w całej późniejszej kulturze artystycznej w Polsce. Tacy „egzegeci” najchętniej pogrzebaliby ów realizm tak dokładnie, by śladu zeń nie pozostało: w muzeach, magazynach i ludzkiej pamięci. Częściowo osiągnęli swoje, doprowadzając do zamknięcia wielu obiektów w Centralnej Składnicy Muzealnej w Kozłowie, gdzie m. in. internowano sztandarowy obraz realizmu socjalistycznego, czyli „Podaj cegłę” Aleksandra Kobzdeja, które to płótno, jako własność wrocławskiego Muzeum Narodowego, całkiem dobrze prezentuje się na warszawskiej wystawie.

Sztuki z pierwszej połowy lat pięćdziesiątych nie udało się przecież anihilować. Frontalnie atakowana po roku 1955, długo potem stanowiła opozycyjny system odniesienia dla tzw. nowoczesnych tendencji, co nawet zrozumiałe, by w końcu zemścić się na awangardzie za wieloletnią anatemię i pogardę — oczywiście w sposób pośredni, niejako cudzymi rękoma: młodych malarzy, którzy ledwie dziesięć lat po „ostatecznym pogrzebie” realizmu socjalistycznego zaczęli ostentacyjnie uprawiać twórczość o charakterze publicystycznym, zatem pokrewnym poetyce „Ceglarek” Kobzdeja czy „Postaci” Fango-ra z 1950 roku. Neutralnie, to nowe malarstwo zawierało odmienne treści, nie gloryfikowało jedynie słusznej rzeczywistości społeczno-politycznej, a wprost przeciwnie. Ale i oni, ci młodzi z grupy „Wprost”, następnie Jerzy Duda-Grac i debiutujący około połowy minionej dekady Edward Dwur-nik, pragnęli, jak tamci realisci, uprawiać sztukę czytelną w strukturze formalnej i przesłaniu, unaoczniającą problemy życia zbiorowego, bez śladu troski o „nowatorstwo” malarzkiego zapisu. Zdumiewające, że protagoniści realizmu socjalistycznego znaleźliby też niejedną okazję do satysfakcji, gdyby obejrzeni tegoroczne „Documenta 8” w Kassel. Ten reprezentatywny przegląd współczesnej sztuki (głównie zachodniej) miał bowiem wiele wspólnego z ideami twórczości zaangażowanej społecznie i politycznie.

Autorów wystawy warszawskiej, Maryla Sitkowska i zmarła na początku tego roku Anna Zacharska, przyznają we wprowadzeniu do katalogu, że ekspozycja „pomyślana została jako wypowiedź w tonie publicystycznym (sic!) bardziej, niż naukowo-sprawozdawczym. Nie ości ona pretensji do syntetycznego ujęcia całości problemu. Co więcej, pewne

aspekty sztuki socrealizmu specjalnie uwydatnia, inne zaś — programowo pomija”.

Takie postawienie sprawy może budzić niejakie wątpliwości pod tytułem: czy warto było? Od czasów realizmu socjalistycznego upłynęło już tyle lat, że instytucja o tak poważnych aspiracjach i znaczących możliwościach, jak Muzeum Narodowe, mogłaby przedstawić wiadome zjawisko w pełnej okazałości. Jest to oczekiwanie tym bardziej uzasadnione, że już znacznie wcześniej, bo w 1979 roku, Muzeum Kazimierza Dolnego urządziło wystawę o identycznej tematyce, a później i Białą Podlaska zdobyła się na coś podobnego, korzystając ze zbiorów Kozłowski.

Jakby jednak spojrzeć na sprawę, wystawa jest interesująca — bo pokazuje, że malarstwo, grafika, fotografia, plakat i rzeźba realizmu socjalistycznego to nie są wcale jakieś gnioty czy wyłącznie plastyczne popluczyny zniewolonych umysłów. Owszem, znajdujemy w Muzeum Narodowym propagandową szampę i karykaturę dobrych intencji, ale jest tam też wiele prac sprawnych warsztatowo, intrygujących a nawet krytycznych w przesłaniu, wtykających to i owo rzeczywistości społecznej. Obrazy Kobzdeja, Wróblewskiego, Krajewskiej, Wegnera, Sramkiewicza, Strumilly, Weissza; grafik Borowczyka, Tarasina, Bąkowskiej-Has, Panka; fotografie Baranowskiego i Obrapałskiej, Bulhaka i Hartwiga oraz kilku innych autorów — otóż prace wykonane tylko w takich technikach i wyłącznie w okresie 1950—1955 można spokojnie, bez tłumaczenia się, eksponować w najlepszych miejscach najlepszych polskich muzeów.

Tadeusz Mysłowski, nasz artysta w Nowym Jorku, znów odwiedził Polskę, a zapytany, jakie wystawy warszawskie wydały mu się najciekawsze, odpowiedział: sztuki angielskiej w „Zachęcie”, Anselma Kiefera w galerii „Foksal” i realizmu socjalistycznego...

Jednego nie mogę wybaczyć organizatorom ekspozycji w Muzeum Narodowym: że w jej nazwie umieścili słowo „socrealizm”. Postugiwanie się tym żargonowym określeniem nie przystoi doprawdy instytucji, która pragnie uchodzić za „skarbnicę tradycji naszej”.

Bez względu na wszelkie obecne proweniencje, realizm socjalistyczny w Polsce to nasza sprawa i nikt mnie nie przekona, że jest inaczej.

Nasze jest dobro i zło.

LJK

Szczyście z matrymonialnego biura

Irena Filus

Przeznaczenie

Państwo Milewscy mieszkają w dwupokojowym mieszkaniu na Czubach. Przytulnie, bez zbędnego przepychu urządzone. Jedynym meblem o znamionach luksusu jest kolorowy telewizor, najnowszy, o dużym ekranie.

Nie zależało nam na nim specjalnie, ale teraz, kiedy go mamy, doceniamy zalety. „Zony Hollywoodu” zdecydowanie nabierają blasku. Właśnie witam i za chwilę zegniam się z młodszą córką pana domu. Zaczynamy od niego, zanim na stole nie wyładuje domowa szarlotka i herbata.

Mężczyźni niechętnie zgadzają się na rozmowę. Tak, jakby się czegoś wstydzili. Może mają rację. Kobieta ma zwykle mniej czasu na zawieranie znajomości, obciążona dziećmi, domem. Panom zawsze bardziej wypada pójść bez towarzysza do kawiarni czy do znajomych. Zresztą samotni mężczyźni chętniej są widziani niż samotne kobiety.

Zona pana Milewskiego zmarła pięć lat temu. Dzieci były już dorosłe, choć mieszkaly jeszcze z nim. Najpierw przyszedł ból, później tęsknota.

Półtora roku żyłem samotnie, a ponieważ wszystko potrafię zrobić, łącznie z gotowaniem, to jakoś dawałem sobie radę. Dzieci nieraz korzystały z moich usług. Ale poczułem się jeszcze na siłach, by założyć drugą rodzinę. Są ludzie towarzyscy. Mam dużo znajomych. Ja miałem pracę, która nie sprzyjała zawieraniu znajomości. Poza tym jestem raczej domatorem. O biurze „Olimpia” często czytałem w prasie, pomyślałem, że trzeba skorzystać. Dużo odwagi mnie to kosztowało. Zanim poznałem przyszłą żonę, widziałem się z kilkoma paniami, wobec jednej miałem nawet poważne zamiary, ale trochę speszyl mnie fakt, że w tym czasie, kiedy ja jej złożyłem wizytę, pojawił się drugi pan. Kiedyś na ulicy spotkałem panią Todzie — kierowniczkę biura i chciałem zrezygnować, ale ona gorąco mnie namawiała na jeszcze jedną próbę i powiedziała, że ma dla mnie kogoś. Miała na myśli moją obecną żonę. Zgodziłem się.

Poprzednie małżeństwo pani Milewskiej trwało tylko trzy lata. O trzy za długo. Daleci, na szczęście, nie było.

Od dwudziestego trzeciego roku życia żyłam sama przez piętnaście lat. Nie uduziłam się. Chandra nieważna rzadko, najgorsze były soboty i niedziele. Ale dużo miałam przyjaciół, różne zainteresowania. Kiedy mieszkałam na stacji przez sześć lat, to się uczyłam i czas leciał. Potem dostałam własne mieszkanie. Szyłam, haftowałam, piekłam. I przyszedł taki moment, że zdałam sobie sprawę z tego, że nie chcę dłużej być sama. Nie było na co czekać. Wymagania osoby, z którą miałam, a samotność dokuczala. Mieszkałam się już nacieszyłam, sukcesy w pracy osiągnęłam. O poznanie kogoś zaczęłam zabiegać jakiejś dwa, trzy lata przed poznaniem przyszłego męża. Kiedyś przyszedł taki dzień, kiedy do załatwiania formalności. Wiedziałam, że na Lubomelskiej istnieje biuro matrymonialne. Niestety, zostało przeniesione. Na Kowalską dotarłam tuż przed siedemnastą. Pani Todzia właśnie zamylała. Powiedziała: — Kiedy pani weźmie ten kawa-

tionariusz, wypełni i przyjdzie jutro. — Jak wezmę, to już nie przyjdę — odpowiedziałam. No to, posadziła mnie i załatwiła sprawę od ręki. Za tydzień miał być wieczorek imieninowy. Przedtem jeszcze zadzwoniła do mnie kierowniczką i powiedziała, że ma dla mnie pana, który pyta, czy ja zgodziłabym się go poznać. W pierwszej chwili się zachnęłam. Kilkanaście lat starszy. Ja chciałam kogoś młodszego. Poza tym wszystko się zgadzało. Wdowiec z dziećmi, spokojny, bez nalogów. Pani Todzia za niego ręczyła. Ale nie spotkałabym się na wieczorku. Mój partner nie „dansjor”. Jeszcze tego samego dnia był telefon. Poznałabym się 1 marca, 30 marca mi się oświadczył, 6 maja zamówiliśmy ślub, a pobraliśmy się 2 czerwca, bo nie chcieliśmy w maju. Był wdowcem, więc mogliśmy wziąć ślub kościelny. Inaczej bym za niego nie wyszła. Chciałam tę resztę życia spędzić zwyczajnie, tak jak to sobie wymarzyła moja mama. Jeszcze żyje i bardzo się z mego szczęścia cieszy.

Po raz pierwszy spotkali się w domu pani Milewskiej. Ona poczuła się trochę nieswojo, gdy otaksował ją wzrokiem. Po krótkiej rozmowie zaczęli widywać się codziennie. Po dwóch tygodniach wizyt ona zadzwoniła do biura matrymonialnego, że na razie nie życzy sobie żadnych spotkań, bo utrzymuje kontakty z tym panem. Usłyszała: — A, to muszę pani powiedzieć, że on też zgłosił, że nie chce żadnych innych kontaktów. Proszę mnie na bieżąco o wszystkim informować. — Pani Todzia nie spodziewała się nawet, że tak szybko dostanie zaproszenie na przyjęcie ślubne.

Zdecydowaliśmy się dość szybko, bo przecież jesteśmy dorośli, dojrzali, po wielu doświadczeniach. Uzgodniłam warunki. Szkoda nam było czasu. Dzieci musiały to zaakceptować, ale nad ułożenie wzajemnych stosunków napracowaliśmy się wspólnie, kosztem wielu wyrzeczeń. Najważniejsze było, żeby ta szaryzna dnia codziennego nie stała się koszmarem. Biuro matrymonialne to ostateczność, ale i konieczność. Ludzie młodzi poznają się na zasadzie rozpędu. Po trzydziestce fakt, że się ktoś podoba, nie jeszcze nie znaczy. Przeważnie nie jest wolny, a tutaj, w biurze, od razu wiadomo.

Państwo Milewscy uważają, iż to, że się spotkali, to przeznaczenie, któremu tylko trochę pomogli.

„Nie chciałam wyjść za mąż”

Pierwszy mój mąż był ode mnie starszy. Na dodatek rozwiedziony, z dzieckiem. Znałabym się jeszcze ze szkoły. Lubiałam dzieci, nawet myślałam, że zaadoptuję jego córkę. Na razie wychowywała ją babcia. Nie mieliśmy warunków. Jeden pokój w suterenie, gdzie urodziła się nasza córka Beata. Miałam wtedy dwadzieścia siedem lat. Mężczyzna, wiadomo, jest wygodny. Dziecko chorowało, a on nie bardzo miał ochotę się nim zajmować. Ciągłe się wyprzedał i wprowadzał, babcia mu przystojny był. Listy do niego różne przychodziły. Tak to trwało z pięć lat. A ja w tym czasie jeszcze studia dla kończyłam. W końcu poszłam do teściowej i oświadczyłam, że jak nie wrócę na

stałe, to podaje go o alimenty. Gdyby on nie chciał, to nigdy w życiu nie doszłoby do rozwodu. Nie bardzo wierzę w szczęśliwe małżeństwa. Wiele robi się dla dobra dzieci.

Pani Melania jest osobą bardzo energiczną. Córke wychowuje po partnersku. Nie ma problemów z zawieraniem znajomości. Kontakty z mężczyźnami w jej pracy są także ułatwione. Koleżanka namówiła ją kiedyś, żeby poszła do biura matrymonialnego. Wtedy jeszcze znajdowało się ono przy ulicy Lubomelskiej. Poszła i jakoś do tego biura przygłęła. Przychodziła tutaj później ze względów czysto towarzyskich. Zaprzyjaźniła się z kierowniczką.

Teraz na Kowalskiej „Olimpia” dysponuje dwoma małymi pokojkami, w których trudno pomieścić kilka osób naraz. Poczekalni w ogóle nie ma. Przychodzą różni ludzie. Tacy, którzy chcieliby wypić herbatkę, porozmawiać, od razu nawiązać nowe znajomości, stali bywalcy, przez długie lata szukający partnera i ci nieśmiały, chcący uniknąć spotkania z kimkolwiek, jeszcze nie zdecydowanymi na nic, niewolnicy chwili.

Obecny mój mąż jest ponad sześć lat młodszy ode mnie. Jego małżeństwo trwało bardzo krótko. Bezdzielnny. Przychodził do biura. Stamtąd go znalazłam. Pewnego dnia chciałam panią Todzie zabrać na wycieczkę organizowaną u mnie w pracy. Była chora, ale powiedziała: — A wiesz, przyślij do ciebie tego pana, który się tak ciągle o ciebie dopytuje. Może on by chciał skorzystać z tego miejsca. — Przeszedł do mnie, do domu. Rzeczywiście go znalazłam, lecz udawałam, że nie pamiętam. Pojechaliśmy razem na tę wycieczkę. Potem zaczął mnie odwiedzać. Ja też byłam u niego na wsi, ale wrażenia wielkiego nie zrobiłam, bo myślałam, że jestem baba do roboty. A ja, owszem, kulturalną jestem, ale nie do roli. Na początku chciał, żeby tam z nim zamieszkała. Widoki ładne, choć nie na życie. Postawił mi warunek, albo za niego wyjdę, albo popelnę samobójstwo. Koleżanki mnie namówiły, przyniosły sukienkę ślubną, no i w ten sposób już dwa lata jesteśmy razem. Chłopak jest dobry, pracowity. Z córką są jak kumple. On się wiele nie wtrąca. Do życia się nadaje, wszystko zje, nie marudzi, nie szaleje za modą. Całkowite przeciwieństwo mojego pierwszego męża. Pies musi mieć swojego pana, człowiek też nie może być sam. Szczęście? Śpiewała kiedyś takaś piosenka, że szczęście to wrzucić list do skrzynki. Dla każdego to słowo co innego oznacza. Dwóch rzeczy nie lubię, pijactwa i draństwa. Ale ostatecznie mojego najgorszego wroga, a jego kumpla, ożeniłam z moją koleżanką. Dostał taką, co go z łap nie wypuści. Więc mam na razie z głowy.

Zona marynarza

Są dziewczęta, którym życie upływa na nauce. Szkoła średnia, potem studia. Idą do pracy i nagle okazuje się, że powoli odchodzą przyjaciółki, z chłopcami, z mężami, z nowymi przyjaciółkami, i zostaje samotność. Zaczynają się interesy. I eo z tego, że można sobie pozwolić na ciuchy, na kawę w kawiarni. Nie ma dla kogo i z kim.

Katarzyna Karska jest ładną dziewczyną. Mogę śmiało użyć tego określenia, bo mimo iż przekroczyła trzydziestkę, ma drobną figurkę, duże oczy, osadzone w twarzy o regularnych rysach, i wcale nie wygląda na dyrektora szkoły.

Nie miałam chłopaków na studiach. Może chodziłam trochę zaniedbana, grzywka, koński ogon, nie zwracałam uwagi na ubiór. Miałam bardzo atrakcyjną koleżankę. Wszystkim się podobała, a ja żyłam w jej cieniu. Trochę też chorowałam. Nie było to tak bardzo poważne, ale dość uciążliwe. Musiałam na siebie uważać, nigdy nie mogłam bawić się na całego. Po



Rys. Zbigniew Walszewski

studiach robiłam doktorat, a kiedy poszłam do pracy, stwierdziłam, że należałoby jakoś ułożyć sobie życie. Znałam kilku panów, ale nie myślałam o nich poważnie. Do biura matrymonialnego poszłam przypadkiem. Coś mnie zdenerwowało. Zapisalam się i dokonałam tylko jednej wpłaty. Później kierowniczką, już chyba z dobrego serca, przysyłała mi oferty.

Wymagania co do partnera: spokojny i zrównoważony, kulturalny, wyższe wykształcenie. Katarzyna spotkała się z kilkoma odpowiadającymi wymogom. Weterynarz i dwóch prawników. Pierwszemu nie spodobała się już na pierwszej randce. Powiedział, że zadzwoni, a spotkali się w pół roku później, na ulicy. Wymienili tylko ukłony. Drugi był bardzo natarczywy, ale czuła, że wielki cwaniak. Trzeciego przekreśliła od razu.

A mój przyszły mąż zadzwonił do mnie do pracy. Bardzo nie spodobał mi się jego głos przez telefon, ale umówiłam się w kawiarni. Kiedy go zobaczyłam pierwszy raz, stwierdziłam, że jest to ostatni człowiek, za którego chciałam wyjść za mąż. Okropny, źle ubrany, jakiś za gruby. Ale zachowywał się bardzo ładnie. Potem wyjechałam do Kolobrzegu na wczas. Przystąpił do mnie list, nie wiem, jak mnie znalazł. Po powrocie do domu też znalazłam w skrzynce list, że jeszcze nie wyjechał w rejs i że przez kolejne trzy dni będzie na mnie czekał w tym i tym miejscu. Ostatniego z wyznaczonych dni podjechałam taksówką. Pamiętam: był okropny mróz i powiedziała: — Nie będę wdychać tego dymu papierosowego, zabieram się do domu. — Bardzo był zmieszany. Może myślał, że chcę go zawieźć do rodziców. A ja miałam własne mieszkanie. Posiedział z dwie godziny. Bardzo było miło. I potem spotykaliśmy się już codziennie przez dwa tygodnie. Zaprosiłam go do rodzinnego domu na obiad.

Mamie się bardzo nie spodobał, że taki małowolny. Mimo wszystko coś mnie do niego ciągnęło.

Wyjechał w rejs i miałam spotkać się na dworcu. Kiedy tam stałam, patrzeć idzie z jakąś dziewczyną w wykończonych butach, ohydnych bordowym palcie, z tłustymi włosami i w okularach. Pomyślałam, że może siostra, bo wiedziałam, że ma siostrę. W duchu nazwałam ją „polorocze”. Przedstawił mi ją jako swoją koleżankę. A ja nie nie powiedziałam, tylko odwróciłam się na pięcie i zaczęłam iść przed siebie. Doznałam jakiegoś szoku. Jego pociąg już odjeżdżał, a ja usłyszałam za sobą kroki tej dziewczyny. Wsiadłam szybko do taksówki i odjechałam. Po jakimś czasie przysłał list, że mnie przeprosza, że jest poważnie mną zainteresowany, a tamta dziewczyna czekała na niego cały dzień przed domem i jakoś nie mógł się od niej odciąć.

Przyjechał na kolejny urlop. Przeszedł do mnie z kwiatami, siedział prawie cały dzień. Potem nie pojawił się przez tydzień. Złamałam się i poszłam do niego, do domu. Siedział zamknięty w czterech ścianach i powiedział: — Nie widziałem cię cztery miesiące, to mogę cię i cztery dni nie widzieć. Teraz będę sprzątał.

Marek Karski — dwa fakultety, znajomość kilku języków obcych. Napisał do dwóch biur — w rodzinnym mieście do „Olimpii” i do „Lido” w Gdyni. Kolega za statku mu poradził. Partner atrakcyjny pod każdym względem, a najbardziej finansowym. Dziewczęta zasypywały go listami. Stały pod drzwiami, czekały na niego. Jak na prawdziwego marynarza przystało.

Był trochę podejrzliwy. I dziwak, na dodatek. Tyle lat był sam. Rok już miał, odkąd się poznał. Wyjechał w kolejny rejs. Wiedziałam, że się chce ożenić, ale jakoś trudno mu się było zdecydować. Więc ja przejechałam infelatywę. Powiedziałam, że będę czekać w sobotę pod USC. Przeszedł. Zamówiliśmy ślub i w następnym tygodniu się odbył — nowoczesny, skromny, z kolacją dla przyjaciół. W prezencie dostałam włoski samochód.

Były okresy, że nie mogłam być z sobą wytrzymała. Jeszcze będąc w ciąży, myślałam o rozwodzie. Ciąży ciąży przeleżałam. On przyjechał na urlop. Bardzo się mną opiekował. Później urodziłam dziecko. Przez trzy tygodnie walczyło o życie. Muszę powiedzieć, że mój mąż był wtedy dla mnie prawdziwym przyjacielem.

Pamiętam ten moment, kiedy, nie licząc urodzin, zobaczył małego po raz pierwszy. Nie było go osiem miesięcy. Przyjechał w nocy, zarożnięty, i od razu popędził do dzieciennego pokoju. Mały miał mówić tylko jedno słowo. Siedział na kolanach Marka, poklepywał go po ręce i powtarzał: tata, tata. Tata się rozplakał.

Teraz, na każdym przyjęciu przekonuje się coraz bardziej. A ja też się przyzwyczailam. Po dwóch dniach wspólnego pobytu wydaje mi się, że jesteśmy zawsze razem, a kiedy wyjedzie, zakasuję rękawy i biorę się do pracy. Za cztery miesiące wróci z Japonii. Mały będzie obchodził drugie urodziny.

Trzyminutowe opowiadanie

Henryk Mann

O SIAGNAWSZY lat dwadzieścia jeden, kazalem wyplacić sobie przypadającą na mnie część spadku, wyjechałem z tym do Paryża i bez specjalnego trudu wydałem wszystko na kobiety. Myśl, przewodnią mojego postępowania była następująca: chciałem poznać życie z perspektywy własnego samochodu, łoża operowej i horendalnie drogiego łoża. Obiecywałem sobie z tego literackie korzyści. Wkrótce jednak okazało się to omyłką. Mianowicie nie mi nie pomogło, że posiadałem wszystko — gdyż w dalszym ciągu wszystkiego tego pragnąłem. Wiodłem bardzo rozwiązłe życie, jakby we śnie, o którym wiemy, że śnimy i usychamy z tęsknoty za rzeczywistością. Szedłem obok zgrabnej, powszechnie pożądanej, a dla mnie laskawej damy, jak obok mgły, rozplywającej się w woalach mojej tęsknoty...

Niewiele tysięcy pozostało jeszcze w moim portfelu, kiedy na publicznym balu nieostrożnie otwarłem go w obecności młodej dziewczyny. Zaprosiła mnie do siebie, poszedłem za nią do jakiegoś obscurnego domu o oślizgłych schodach i ścianach, z których sączyła się wilgoć. W chwili, kiedy powiesiłem marynarkę na oparciu krzesła, otworzyła się w podłodze kłapa razem z dywanikiem sprzed łóżka, na którym stałem. Wpadłem w jakąś sztolnię. Była dość obszerna. Jakiś występ umożliwił mi zatrzymanie się trzy lub cztery stopy poniżej pokoju, który właśnie opuściłem, mogłem więc przysłuchiwać się kobiecemu i męskiemu głosowi, cieszącym się moją spuścizną... I to też była perspektywa. Wprawdzie nie ta naziemna, powierzchniowa, dla której przybyłem do Paryża, lecz płynąca z głębi obcej mądrze, z głębi złych wyobrażeń. Ale jej właściwością było coś kojącego. Prawie nie odczuwałem wtedy chęci ponownego wydobycia się na światło dzienne. Zresztą kłapa podniosła się. Zamknąłem oczy i osuwałem się coraz głębiej.

Wbrew oczekiwaniu nie złamałem karku, lecz udało mi się wydobyc przez jakiś kanał, do czym dostałem się aż do Florencji... gdzie zapragnąłem pokoju upudrowanego Pierrrot, który w pantomimie Teatre Pagliano co wieczór padał na kolana przed kukłą w czepek, gdyż był zbyt nieśmiały, żeby

uczynić to przed swoją ubóstwianą i który ją w końcu posiadał, zdradzał i doprowadził do nędzy, który grał, kradł i któremu jego dziecinne, z lekkim sercem popełniane zbrodnie podkręzały coraz bardziej niewinne oczy grzesznika. Na koniec umierał o zmierzchu pewnego mroźnego dnia kwietniowego w całym swym różnym zepsuciu, przy

akompaniamentem lekkich łez i przytulnej, laszającej się muzyki...

Pragnąłem go kochać. Ale gdy schodził ze sceny, okazał się wielką kurtyzaną, która kosztowała pewnego hrabiego tysiąc lirów miesięcznie, co we Florencji jest bardzo znaczną sumą. Poszedłem do jej fryzjera i dałem mu

ostatni banknot za to, że mnie nauczył swej sztuki i wraz ze szminkami i pudrem wprowadził do tej garderoby. Moje usługi nie zawsze ją zadowalały; pierwszego dotknięcia jej pięknej, pulchnej i wąskiej dłoni doznałem na swym policzku. Pewnego wieczoru, kiedy miałem jej przymierzyć nową perukę, odważyłem się wyznać jej wszystko i zostałem przez nią oddalony. Nadal pragnąłem ją kochać...



Rys. Franciszek Maśluszcak

Nasze kontakty rozwijały się szybko. Hrabia X, od którego otrzymywała tysiąc lirów, wycofał się nagle mimo jej protestu. Unieszczęśliwił już większą część swej rodziny; twierdził, że z jej winy. Również inni utrzymywali, że z jej winy pomniejszyli swe majątki. Teraz została sama, przez wszystkich, nawet przez swego dyrektora, odepchnięta. Niebawem zlicytowana za długi uciekla ze szpitala, pogardzana i gnana z miejsca na miejsce; musiała zadowalać się tym, co można było znaleźć na ulicy.

Był to moment, kiedy zezwoliła na urządzenie jej legowiska na moim poddaszu, przy końcu wąskiej i zatłoczonej ludźmi Via dell' Angele. Leżała tu w księżycowe noce, z głową opartą o ciemną ścianę, tylko ręce były w ustawicznym ruchu, wykonując upiorne, przerażające ruchy skradania się i czepiania, podobne do chorych zwyrodniałych kwiatów, czyhających na owady.

Siedziałem przy stole, przy łożowej świeczce, i pisałem. Jakaś dźwięcząca polyskliwa błękitno-stalowa cisza była w przestrzeni, gdy młody, księżycem u-pudrowany Pierrrot, śmiertelnie zmęczony, wracający ze swych grzesznych wędrówek, wsuwał się do mego pokoju. Jakże pragnąłem go kochać. Podniosła oczy rozplywające się w łagodnym zdumieniu nad losem. Niechętnie pozwalała się pielęgnować przeze mnie, przy czym zawsze badawczo przenikała mnie wzrokiem. Gardziła mną, ponieważ ja jeden przy niej wytrzymałem. Pożądała mnie, ponieważ mnie nie rozumiała. Czasem odczuwała strach, czasem gwałtowne pożądanie, czasem nienawiść. Dręczyła mnie, szczęśliwa, że wolno jej być okrutną, żywić jaszczkę cień zemsty za to, co z nią się stało. Potem plakała na mojej piersi. I znów oczy jej pytały mnie: dlaczego ją jeszcze kocham? Ale odpowiedzi nie dostawała. Przecież nigdy jej nie kochałem; pragnąłem tylko tego.

Konferencje ministra Urbana

Dokończenie ze str. 1

korespondentów zachodnich. „Nie można mówić o polskim dziennikarstwie, a zwłaszcza o kontaktach zagranicznej prasy z Polską lat osiemdziesiątych, z pominięciem ministra Urbana i tego wszystkiego, co robi” — dowodzi Oleg Łosoto, korespondent moskiewskiej „Prawdy”. I to jest prawda.

Do obszernego hallu wioda pod błękitnymi markizami wąskie, szklane drzwi. „Wielkie dla upowaznionych”. Wzrost obserwatorów i zewnątrz” uzgadnia się uprzednio z asystentami ministra. Upowaznienij” — to zagraniczni korespondenci akredytowani w Warszawie, a także ci dziennikarze królowi których redakcje odpowiadały w swoim czasie na zaproszenie ministra Urbana.

„Pojeayniki”, „potyczki”, „starcia” i „konfrontacje” — różnymi terminami próbowano już definiować wtorkowe spotkania. Nie idą one wszakże na proste łagodzenie emocji i dyplomatyczne uniknięcia w nazywaniu spraw po imieniu. Choć ten komentarz o naszym kraju zmienia się systematycznie na korzyść, mechanizmy nadrzędne działają tak samo. Ich tryby porusza atmosfera międzynarodowych stosunków. A jednak prostowanie niedorzeczności i półprawd zachodnich

wuje nadal swą głęboką wartość. Z jednej strony, to rodzaj moralnej presji na zatrudnionych w naszym kraju przedstawicieli zagranicznych massmediów, której znaczenia nie można nie docenić, z drugiej zaś, to pogląd krajowego odbiorcy na propagowanie i rozpowszechnianie „prawdy” przez zachodnie środki masowego przekazu.

Z hallu prowadzi przejście do barokawiarń która we wtorkowe przedpołudnia zmienia się w giełde ploteczek, hipotez i szepców. Ożywienie bywa tu czasami większe niż w konferencyjnej sali. Wszyscy dobrze się znają choć najczęściej dyskusje bywają wybiórcze: istnieją własne grunki i kreski odniesień. „Intruz” duma najczęściej samotnie w najdalszym kąciaku. Intruzi rzadko jednak bywają tu gośćmi. Na monitorach można tu obejrzeć konferencje w przekazie zamkniętym.

„Warto zastanowić się nad pewnym zamkniętym kołem, w jakim zawierało się w swoim czasie informowanie o Polsce — powiedział Michael Kaufman, były korespondent „New York Timesa” w Warszawie. — Zagraniczni korespondenci posiadali wówczas dostęp głównie do opozycji, do jej liderów, przekazywali to, co oni im przekazali, wysyłali te informacje do swoich krajów, a one z kolei wracały głównie za pośrednictwem zachodnich rozgłośni — przyp. WH] do Polski. W ten sposób tworzył się swoisty zamknięty obwód. I w pew-

nym momencie w ten obieg włączył się właśnie pan Urban. Czytnąc to, musiał wszakże zacząć podawać nam informacje prawdziwe”

Swój właściwy wymiar zyskały wtorkowe spotkania w dobie najgorętszej agresji propagandowej na Polskę. Taka była właśnie ich wtórna geneza.

Zjawiają się operatorzy telewizji polskiej i trzech sieci zachodnich. Do sali zagląda co chwila dyrektor Górski z „Interpresu”, prowadzący konferencje w imieniu agencji. By dotrzeć na „pole bitwy” trzeba jeszcze przejść odprawę przy końcowej „bramce” (tu podpisuje się liście) i przemierzyć krótki korytarzyk, wzdłuż wąskich regałów z broszurami reklamowymi na półkach.

O konferencjach mówi się w pracy i w zaciszu domowym. „Oglądalność” programu „Rzecznik prasowy rządu odpowiada” utrzymuje się niezmiennie na wysokim poziomie. Sledzą go nawet ci, którzy publicznie wciąż jeszcze głoszą bojkot krajowych massmediów. Bywają wszakże konferencje o różnym stopniu dramatyczności i nie zależą to wyłącznie od tempa aktualnych wydarzeń. Zdarzają się bowiem banalne pytania i próby penetracji marginalnych obszarów. Bywały również próby przekraczania zawodowych

uprawnień, braku taktu i manifestacje nie skrywanej wrogości. Jedną z amerykańskich dziennikarek, powiązaną notabene z wywiadem, musiano nawet w swoim czasie wydalic z naszego kraju. Kiedyś przypomniał minister Urban, że nie jest ustowowym obowiązkiem udział w jego spotkaniach. Niewiele jest jednak rutynowych działań, które by w podobny sposób zachowały autentyzm. Rola osobowości ministra jest w tym przypadku kluczowa. Nierzadko, budząc kontrowersje, on właśnie wyznacza do końca charakter tych spotkań. Wspomniany już Michael Kaufman tak o tym powiedział: „Uważam go [ministra Urbana — przyp. WH] za człowieka niezwykle kompetentnego, doskonale poinformowanego, inteligentnego i odważnego. (Sądzą, że właśnie jego odwaga jest w dużym stopniu niedoceniana). Pozostaje on najbardziej określoną osobowością w całym polskim rządzie. Ministra Urbana można nie nawiądyć, potępiać, nie lubić, nie można mu jednak odmówić, że jest autentyczny w tym, co robi”. To opinia człowieka „z drugiej strony barykady”.

Sam wystrój głównej sali znany jest milionom polskich telewidzów, a podejrzewam, że skrótowno również „oglądaczom” innych telewizji. Nie jest ona obszerna, ma nie najlepszą klimatyzację, ściany ozdabiają kolorowe zdjęcia, zgromadzone bez idei przewodniej. (Od Mister Universum do

Podczas jednej z tych nocy zmarła. Poszedłem potem na ulicę, wzdłuż pustej Via dell'Angele i wzdłuż cuchnących bocznych uliczek ronilem w ciemnościach łąki, z których byłem niewymownie dumny i których wyschnięcia nie chciałem dożyć... Trwały niewiele dłużej niż godzinę: godzinę, która w moim wspomnieniu obejmuje najlepszy, najprawdziwszy, najpiękniejszy odcinek mego życia... Ale byłem już zmęczony i akurat znalazłem czas na to, by lękać się i zatroszczyć o własne życie, gdyż przed moim domem stało dwóch podejrzanych drabów. Rzucałem się do nich plecami. Jeden miał złamany nos, skośne oczy, kwadratowy tułów i kablakowate nogi. Drugi, w lekkiej marynarce i z czymś czarnym wokół szyi, był szczupły, smagły, niezwykle piękny. Ruszył z miejsca i szedł w moją stronę z ręką w kieszeni na piersiach i z tym drugim u swego boku. Miał chód zmarłej. Uczyniłem jeszcze dwa kroki, urzeczony, a mimo to z bijącym sercem. Na jego bladej twarzy o grubych wargach — na jej twarzy — zobaczyłem już czarne, nastroszone rzęsy. Rękojeść noża pojawiła się w jego pięści u wylotu marynarki. Decyzja o mojej śmierci wyraźnie malowała się na jego twarzy. Na twarzy zmarłej. Mielij tylko jedną twarz, bo był to jej brat. Przyszedł ze swoim kumplem z przedmieścia, by ją uwolnić ode mnie; był bowiem zdania, że zadając się z mną, zaniedbuje swój fach i nie przynosi już pieniędzy ani rodzicom, ani jemu.

Nagle — kiedy niemal zetknąłem się z jej bratem — ci dwojga faceci wymięli mnie lukiem, dali mi wolną drogę, zlekceważyli mnie i zniknęli. Mając zamroczoną świadomość, nie mogłem już stwierdzić, co się działo. Dopiero po chwili usłyszałem kłus jakiegoś trzeciego, który nieoczekiwanie wyłonił się z ciemności. Był to człowiek smukły, w marynarce na ramionach; pilno mu było posuwać się naprzód. Z wdzięczności, z bezmyślności, z poczucia wspólnoty wykonałem dwa wielkie susy w ślad za nim. Zaniepokojony poruszył lewym ramieniem i zaczął biec. Uciekał przede mną. Miał mnie za kogoś innego, niż byłem. Również jej brat pomylił mnie z kimś innym. Mam wrażenie, że oscylacja między ludźmi jest zawsze takim bezradnym i okrutnym chaosem pomylek, jak ta nocna scena na rogu ulicy dell'Angele...

W Mediolanie, moim mieście rodzinnym, podjąłem trochę pieniędzy za utwory, które napisałem w osobliwych nocach czuwania przy chorej, której nie kochałem. Wysoko postawiona, utalentowana dama zagięła na mnie parol z tej okazji. Powiedziała, że jej życie jest niustannym poszukiwaniem, że jej egzystencja jest tragiczna, i że ten, kto takie utwory napisał, musi ją kochać.

Pomyślałem w duchu, że mnie to nie obchodzi, byłem jednak uprzejmy.

Twierdziła, że winien jestem jej wdzięczność, gdyż nikt na świecie nie odczytał mnie tak rozumiały jak ona. Z tym się nie zgadzałem bronilem się i nie przyznawałem do winy. Powtórzyła, że jej egzystencja jest tragiczna i że skok ze skały Leukos będzie jej końcem. Byłem oburzony, mille poglaskany i zdumiony. Dlaczego spotykają mnie takie rzeczy? Nie chciałem o nich nic wiedzieć. Nikomu nie udzieliłem prawa niweczenia mojej samotności.

Eleganckie, wszędzie pożądane, a dla mnie łaskawe damy mojej młodości przemknęły obok mnie jak rozwiewające się mgły. Upudrowany księżycem Pierrot zmarł jak refleks. A teraz jakaś konkretna istota chce dostać się do mego wnętrza? Chcę mnie wyleczyć? Odbardzić mnie rzeczywistością? Miłością zabrać mi cierpienie? A przecież całe moje zainteresowanie sobą zależało wyłącznie od tego cierpienia! Każda chora twarz jest szlachetniejsza od zdrowej. Nie byłem skłonny zniżyć się. Nie pojmowała tego; chciała przecież być szczęśliwa, więc chciała uszczęśliwić. W końcu uważałem ją już tylko za głupią i dręczyłem ją za karę, zdecydowany wstydić się tego oblicza duszy z tym zastrzeżeniem, że kiedyś nadejdzie sposobność ku temu, by z mego wstydu uczynić sztukę...

Gdy jej kryzys minął i gdy zaczęła odchodzić ode mnie, przywołałem ją z powrotem i zmusiłem do tego, by została moją kochanką. Odczuwałem satysfakcję, że mam ją przed oczyma jako dowód mojej nieuszczupionej samotności...

Samotność ta podobna jest do nagłej ciszy w powietrzu przed wypłynięciem w morze, jeszcze krząta się bez wytchnienia wielu marynarzy na masztach i ścianach statku, podnoszą kotwicę, odwiązują i rozpinają żagle. W następnej chwili żagle opadają bezwładnie, statek nie rusza z miejsca, stoją i patrzają na siebie...

Zdaje się, że na tych stronicach wydarzyły się niezwykle sprawy. Ale moje samopoczucie jest oplakane, tak jak gdyby nigdy nie się nie wydarzyło. Mam wrażenie, że przez cały czas siedzę na jakimś beznadziejnym spektaklu, którego treścią jest dłużące się, nudne umieranie. Co jest rzeczywistością?

Rzeczywiste były może łąki, które wylewałem, idąc wzdłuż pustej Via dell'Angele i krążąc pewnej nocy w ciągu prawie godziny wokół małych jak rynsztok uliczek. Ta godzina była rzeczywistością. Z całego życia prawie godzina. A przynajmniej pierwsza połowa tej godziny była prawdziwa. Może... Ale i to nie jest całkiem pewne.

Przełożyła
Gabriela Mycielska

Jest to pierwszy przekład tego opowiadania na język polski. Ukazał się ono w antologii opowiadań Henryka Manna w Wydawnictwie Literackim.

(Red.)

Edmund Pietryk

Dlaczego tutaj wciąż albo krew albo apatia? — myśli emerytowany profesor języka francuskiego — I gdzie się teraz ukryć przed życiem gdy ciągle płyną szare wieści z jakiejś kruczej poczty? Tutaj nawet romantycy miewają żelazne ręce bo język polski to niby aktor zza kurtyny z mgły i deszczu jak to odczytał Staff w swoim jesiennym wierszu język służący do kochania biedy i marzeń rozpięty międzygłębiem a sokolem między orłem a sępem Dlatego może moja starość jest jak wiekowy suchar i to jest jak monotonia natrętnego diabła. Ale gdy sobie zrobię wielkie święto i kupię w prywatnym kiosku paczkę kawy za osiemset pięćdziesiąt złotych to wtedy moje życie będzie pachnieć i wymyślę sobie język który może być koniem sokolem przebiśniewem lub sarną Język który będzie ostrzeniem damasceńskich mieczy i lekcia miłości jednocześnie. A potem wyjdę na ulicę i znów usłyszę język w reku leniwego rzeźnika który tylko czeka aż on sam przestanie oddychać. Wtedy przywołam duchy Prousta Rimbauda Romain Rollanda i nawet kupując kartkową wołowinę z kością postaram się mówić do tej wielkiej kobiety wymyślnym marivodagiem I tylko boję się że ten natrętny diabeł romantyków o żelaznych rękach znów mnie zapyta — dlaczego tutaj wciąż albo krew albo apatia?

Oto imię i nazwisko przodownika pracy w gmachu uniwersytetu w robotniczym mieście i statek jego imienia w rękach dokerów. Gdy student zapyta o sens bohaterstwa kamień uрони niemą kroplę krwi. Doker obraca twarz ku słońcu. A gdzie dowód osobisty posągu który wskazuje jakieś miejsce w oddali gdzie jego betonowa godność? Jakby mówił — przyrzekam ci znów mozolną podróż w smaku gorącego węgla. W drzemce obelisków popiersia szukają okien duszno ale mówią w swoim języku. Tylko urzędnicy zmieniają szczydła i ręce które dawno zgubiły odciski. Nie płacze kto świadom swojej niewinności. Bo gdzie szpik posągu a gdzie jego na dzień dzisiejszy prometejska wątroba? Łuszczy się farba i umarły musi płacić komorne za mieszkanie w tym czasie. Krwawy zgrzyt gotowy do skoku na dzień tego lustra i niektóre pomniki tęsknią za grzebieniem z obłowanymi żołnierzami starych dzieł. Ale doker chce być honorowym dawcą krwi dla tych posągów nieobecnych w nowym świecie. To czas w którym nie wierzy się encyklopediom lecz jadłospisom w taniach barach. Susza w tej glebie żłobi rozpadliny pomnikom bieleją ręce i słychać chrobot kornika w betonie a może to dzień koronacyjny żywych obelisków które rozkuwają człowieka z milczenia.

Raz w roku około Wielkiej Nocy siadam do stołu z matką i zmartwychpowstaje mój ojciec a potem dawno zmarła siostra i wtedy jesteśmy razem jak nigdy nie było w prawdziwym życiu zanim jeszcze cała nasza kresowa rodzina zaczęła chorować na śmierć. Zmartwychpowstaje nasze grzechy powszednie śmiertelne i wszystko to co było w nas prawdziwą pieśnią. Ojciec już nie ma leku w oczach a siostra doczekała się niebieskiej dorosłości i nawet to nasze życie nam zmartwychpowstaje i rzedną kainowe dymy które kasały nas pelzając po tym kawałku ziemi. Matka robi koronki piękne jak kwiecień budzący się na naszych kresowych mokradłach i jak nasze nieliczne spokojne sny. Życie — nasz radosny tren nasza najbardziej soczysta elegia i plonie wtedy to ognisko przeciw wilkom które boją się ognia. Ten kamienny blok staje się moim sadem morwowym z dzieciństwa i już nieważne czy te gwiazdy z nocy która nadejdzie będą łaskawymi oczami czy tylko wrzodami diabła.

Rebecca Gilling). Po przeciwnej stronie czarno-białe portrety luminarzy polskiej sztuki (Penderecki, Kantor). Miejsca przy stołach zarezerwowane są już od dawna, z małymi wyjątkami, przez zapobiegliwych kolegów krajowych.

W ogólny rytm konferencji coraz pełniej włączają się dziennikarze krajowi, a najsłabsze ogniwo tych spotkań, to jak się wydaje, kontakty z dziennikarzami z krajów socjalistycznych. Oleg Łosoto twierdzi, że, jego zdaniem, aktywność korespondentów z krajów naszego obozu będzie stale wzrastała. Jak dotąd wszakże, kontakty te wyznacza głównie płaszczyzna „oficjalnego komunikatu”. Tempo „dziania” się przemian będzie zapewne wyznaczało nową ich jakość.

Dziennikarze zagraniczni przybywają na ogół w ostatniej chwili, zajmują miejsca w tylnych rzędach krzesła ignorując czasami zakaz palenia i wnosząc w dłońach „soft-drinki” (Alkohol sprzedaje się w barze od 12-tej).

Bernard Margueritte, Krzysztof Bobiński, Renata Marsch, Michael Kaufman — nazwiska znane dotąd z okazjonalnych przedruków w „Forum” napatykały dzięki konferencji swe personalne odbicie. Możliwe, iż udało się nawet rozpoznać okrychu ich osobowości. Wielu jest ludzi polskiego pochodzenia na listach akredytacyjnych, choć różny bywa chyba ich stopień życzliwości dla Polski. W kulisach mówi się także i o tych, których nie-

często widać na szklanym ekranie. Obecni są jednak w nośnych komentarzach w swoich własnych dziennikach. Jest „dziadek John” brytyjski dziennikarz znający Polskę jeszcze sprzed wojny i przybyszający tu z Wiednia na krótkie wypady, są pracujący w oparciu o krajowych researcherów dziennikarze „Newsweeka” i „Time’a”, są i rozmaite „szare eminencje” własnego chowu. Wielu korespondentów odważnie zadaje w czasie konferencji pytania po polsku. Lapsus jednak w rodzaju: „niewolników” zamiast „pracowników” może mieć konsekwencje nie tylko komiczne. A jednak obszar profesjonalnego szacunku po obu stronach sali jest na wtorkowych spotkaniach zupełnie rozległy.

Główne miejsce „potyczek” jest nie tylko obszarem informacyjnej giełdy, lecz, dzięki rozstawionym kamerom, także odrobinę salonem mody, sprawą, w której „trzeba brać udział”, a marginalnie, jak przypuszczam, okazją wieczornego ukazania się domownikom na szklanym ekranie.

W czasie ostatniej papieskiej pielgrzymki po Polsce prasa otrzymywała, jak zwykle teksty przemówień przed ich wygłoszeniem. Widziałem, jak zachodni dziennikarze oznaczali zawczasu te ich fragmenty, po których „muśiała” nastąpić żywsza reakcja zebranych. Treść zasadnicza wystąpienia nie była tu ważna. Gdy papież zbliżał się do odczytania „szczególnego” passusu, wstawano na lawki, by lepiej zobaczyć

„rozróbę”. Warto pamiętać, że na tej także płaszczyźnie rozgrywać się muszą wtorkowe spotkania.

Pytania zadawane na konferencji są spontaniczne, nie sygnalizowane uprzednio i nie ograniczone w swej liczbie. Minister Urban domyśla się wszakże prawdonobnych obszarów dociekań.

Dowód jawności i zasady działania rządu „przy otwartej kurtynie”? Przykład informacyjnego otwarcia? Przekraczanie granic tabu i drażliwych odniesień? Prostawanie zakłamań i odpięcie ataków? Konsekwencja w widzeniu narodowych pryncypów? Dwoistość komentującej funkcji „na zewnątrz” i „do środka”? Podsyćcie pluralizmu tematycznego w narodowej prasie? Telewizyjny „show” i zjawisko społeczne? Barometr narodowych nadziei, ironii i marzeń? Zapis sukcesów, porażek i wahań? Ogromna praca i donkiszoteria? Erudycja i wyraz polemicznej pasji? Proste wypełnienie obowiązku? Nakaz ciągłego uświadamiania polskiej racji stanu? Element określonej politycznej strategii? (A może jeszcze i dziesiątki odmiennych odniesień?)

Są konferencje częścią wielkiego procesu, i to częścią ogromnie ważną, przynoszącą wymierne efekty. W obliczu zaciekleści i jawnej wrogości nie byłaby bierni. Pilnując konsekwentnie narodowych racji, przetrwałimy agresję z godnością. W Waszyngtonie podpisano porozumienie o historycz-

nym znaczeniu, Hans Dietrich Genscher mówił o nowej koncepcji stosunków zachodnio-niemiecko-radzieckich, Erich Honecker odwiedził Bonn na zasadach partnerstwa, a do Polski przybył z oficjalną wizytą wiceprezydent USA. Jeszcze świat nie pozbył się wszystkich zagrożeń, ale już zrobiło się łatwiej.

Roli ministra Urbana w obronie uczciwszego widzenia Polski przez świat nie sposób przecenić.

„Cały dramatyzm tych konferencji kreuje właśnie pan Urban. Bez jego komentarzy, zabarwień i przerysowań — odpowiedzi na agresywne nawet pytania zmieściłyby się na płaszczyźnie gładkiej wymiany poglądów. Jest nie lubiany przez wielu i wspierany przez wielu, lecz nigdy dla nikogo nie jest obojętny. Rzadko korzysta z dobrodziejstw osobistego uroku. Jego poczucie humoru gdzieś się pogubiło we wtorki. Nie wiem, czy jest Stańczykiem czy także Kaplanem. Czuje jednak w tym wszystkim i przymrużone oko życiowego prześmiewcy. Czasami jego agresja nie ma jasnych powodów. Jest w pewnym sensie rządowym „wrokiem do bicia”. A jednak minister Urban to temat na książkę” — Janusz Pachelski — telewizyj.

„Dzisiejszą konferencję zaczynamy od pytań”.

Wiesław Horabik

Złączeni pasją poznawania

Dokończenie ze str. 1

Należałem do faworytów. Na ośmio- czy dziewięciokilometrowej trasie ukształtowała się czółowka: na przodzie biegł Łukasiewicz, ja za nim. W pewnym momencie dostrzegłem, że Łukasiewicz pomylił drogę i skręcił w pole. Co wówczas przedsięwzięciem? Zatrzymałem się, zacząłem wołać, by wrócił na trasę, odczekałem aż mnie dojdzie i w tej samej odległości od niego, co przedtem, kontynuowałem bieg. Łukasiewicz wygrał, ja byłem drugi. To zapewne dobitnie, ale najpełniej ilustruje moje rozumienie sportu, a szerzej — postawy życiowej. Błąd w gruncie rzeczy postępować można przymierzyć do zasady postępowania polarników. Ideały propagowane przez harcerstwo i szlachetna rywalizacja sportowa pozwalały mi przedstawić ludzi wiecznej zmarzliny w ich naturalnej, niewolbrzymionej, a przecież bohaterkiej wielkości. Ci ludzie byli bez wyjątku prawdziwie wielcy. Nie są wyjątki takie jak książę Abruzzów czy Nobili, którzy kierowali się wyłącznie chęcią zdobycia sławy, ale podkreślam, są to wyjątki.

— Studiował pan na wydziale elektrotechnicznym na politechnice w Liège, zaś pana późniejsza małżonka prawo na uniwersytecie w Grenoble. Jak doszło do tak szczęśliwego dla literatury małżeństwa? Czy już od początku łączyło państwa zainteresowanie tematyką polarną?

Czesław Centkiewicz: — Zapewne nigdy nie spotkalibyśmy się, gdyby nie przypadek. Dzieliła nas odmiennosc charakterów, zainteresowań i specjalizacji. Tymczasem tak się stało, że w pewien wigilijny dzień w Grenoble grupa chłopców i dziewcząt, niezależnie od siebie, wybrała się w góry. Gdy chłopcy, a potem dziewczęta, dotarli do schroniska górskiego, rozległ się potężny huk; niedaleko nas spadła lawina (było to na wysokości około dwóch tysięcy metrów). Zrozumieliśmy, że to niemożliwe, aby wrócić tego dnia do miasta. Musieliśmy zostać: pięciu młodych chłopców i pięć czy sześć studentek. Postanowiliśmy urządzić wigilię na miejscu. Znalazły się czekolada, suchary, sardynki.

Alina Centkiewicz: — Schroniska na Zachodzie są bardzo dobrze zagospodarowane. Mieliliśmy w zasięgu rąk wszystkie przedmioty codziennego użytku. Brakowało jedynie choinki. I w pewnym momencie spostrzegłam, że jeden z chłopców, Nor-

weg, skonstruował na kijku od nart z noży i widelców symboliczną choinkę. Wtedy jedna z Włoszek zaintonowała kolędę. Po jakimś czasie ten sam Norweg, co skonstruował choinkę, zaśpiewał: „Lalajże, Jezuniu”. Jakież było zdziwienie, gdy rzekomy Norweg okazał się Polakiem, Czesławem Centkiewiczem. W takiej sytuacji poznałam przyszłego męża, mimo że w Warszawie mieszkałam o dwie ulice od niego. Od tej pory wędrowaliśmy po Alpach sami.

Czesław Centkiewicz: — Opowiadałem Alinie o Amundsenie, Nansenie, o polarnikach, którzy wtedy szczególnie mnie pasjonowali.

Alina Centkiewicz: — Mnie to nudziło śmiertelnie, bo wszystko, co było białą plamą na mapie, Arktyka i Antarktyda, wydawało mi się niegodne uwagi. Jak pan widzi, nasze zainteresowania były na początku całkiem różne.

— W 1932 roku wyjechał pan na Wyspę Niedźwiedzi jako kierownik pierwszej polskiej wyprawy polarniej (II Międzynarodowy Rok Polarny). W jednym z wywiadów małżonka zdradziła, że pierwsza pana książka powstała jako zbiór osobistych listów, kierowanych na jej ręce. Małżonka miała nawet pretensję, że ta książka otrzymała tytuł „Wyspa mgieł i wicherów”, zamiast bardziej adekwatnych do okoliczności narodzin „Listów do narzeczonej”. Czy można przyjąć, że pana piarstwo narodziło się z potrzeby wewnętrznego podzielenia się z kimś swoimi przeżyciami?

Czesław Centkiewicz: — Muszę nieco cofnąć się pamięcią. W 1930 roku w mieszkaniu Aliny zainstalowałem rury neonowe. Na ich 16 migotały skóry anakondy, które Alina przywozila z ojcem z Brazylii. Pewnego dnia przyszedł tam znany inżynier-elektryk. I stwierdził, że urządzenie jest niebezpieczne. W rozmowie z nim zwierzyłem się, że nie mam stałej pracy. Wykonywałem do rywcze zajęcia, np. zrobiłem system alarmowy do Banku Polskiego, ale stałej pracy nie miałem. W parę dni później otrzymałem telefon. Ow inżynier, który, nawiasem mówiąc, był ojcem Hanki Sawickiej, stwierdził, że dyrektor Państwowego Instytutu Meteorologicznego poszukuje elektryka. Zgłosiłem się do niego. Dyrektor zainteresował się przede wszystkim tym, że byłem harcerzem (zdo- byłem około sześćdziesięciu sprawności), że wyjeżdżałem na obozy, a nawet nimi kierowałem, że uprawiałem sport. W pewnej chwili po wysłucha-

niu moich wynurzeń powiedział: „Za rok odbędzie się II Międzynarodowy Rok Polarny i pan powinien wziąć w nim udział jako uczestnik wyprawy”. Pobiegłem do narzeczonej i z miejsca oświadczyłem: „Płynę z wyprawą polarną”. Na to ona powiedziała: „To obrzymia okazja, musisz jechać”. Potem dowiedziałem się, że kandydatów do wyprawy jest dwustu pięćdziesięciu. Poczuliśmy się, jakby ktoś mi wylał kubel zimnej wody na głowę. Następnego dnia dyrektor PIM poprosił mnie, abym spotkał się z członkami Komitetu Wypraw Polarnych. Tam zorientowałem się, że większość profesorów nie wiedziała nic o wyprawach polarnych. W tydzień później skierowano mnie na rozmowę do prof. Kulnowskiego, który był specjalistą od magnetyzmu ziemskiego. Po rozmowie ze mną stwierdził, że w ciągu czterech lat zrobi ze mnie fachowca. A czas biegnie... Na szczęście dyrektor PIM oświadczył, że nie muszą opanowywać całej wiedzy o magnetyzmie, chodzi o to, aby umieć obsługiwać aparaturę, którą mieliśmy zabrać ze sobą.

Każdy szczegół trzeba było przewidzieć od początku do końca. Należało zabrać ze sobą wszystko, „od szpilki do armaty”. Cały ogrom prac przygotowawczych spadł na mnie. Pojechałem do Kopenhagi, gdzie uczyłem się obsługiwać skomplikowanych aparatów, a po przyjeździe dowiedziałem się, że mam pełnić funkcję kierownika wyprawy. Zapadła decyzja, że na Wyspę Niedźwiedzi pojedzie tylko trzech i w tym składzie będziemy wykonywać badania, które zwykle spełnia ekipa dziesięcio-, dwunastoosobowa. Słowem, będziemy przez całą dobę prowadzić obserwacje i pomiary. Otrzymałem bogate wyposażenie: ekwipunek osobisty od wojska, sto kilogramów czekolady specjalnie pakowanej od Wedla itd. O wyprawie tej było bardzo głośno. Ze względu na trudności organizatorów wszyscy trzej postanowiliśmy rzec się wyjazdowi, a rząd norweski oddał do naszej dyspozycji pięknie wyposażony budynek na Wyspie Niedźwiedziej. Nie dysponowaliśmy własną radiostacją, mogąc korzystać z aparatury norweskiej.

Na parę tygodni przed odjazdem z Wyspy Niedźwiedziej otrzymałem depechę, że Wydawnictwo „Rój” zastrzeżenie sobie prawo pierwszeństwa druku moich publikacji. Rozśmieszyła mnie ta propozycja, bo o czym, jak o czym, ale o piśmie nigdy poważnie nie myślałem. Po przyjeździe z wyprawy do Warszawy pokazałem narzeczonej około czterystu stron listu, którego nie mogłem jej wysłać. Alina i parę innych osób stwierdziły: „Masz gotowy materiał na książkę”. Sugestia okazała się trafna. Oczywiście list należało przerobić, ale „zrab” książki już miałem. Nawijając do pana pytania, muszę potwierdzić, że moja twórczość rzeczywiście zrodziła się z potrzeby podzielenia się z innymi swoimi osobistymi przeżyciami.

— W wyborze reportażu z lat międzywojennych „Wzdłuż dalekiego brzegu” wydany w 1966 roku został umieszczony fragment pana książki „Wyspa mgieł i wicherów”. Czy zgadza się pan z tym, że pańska twórczość wyrosła z reportażu? Do jakiego gatunku należy zaliczyć dalszą państwa twórczość? Na ile dopuszczają państwo do głosu fikcję?

Tripla po lubelsku

Dokończenie ze str. 1

roku będzie jeszcze ciekawiej, znacznie ponad 30 mln zł.

Interes rozkwita, pięć kasjerek i jeden kasjer mają pełne ręce roboty — bo jest to chyba robota, skoro przy niektórych zakładach, kiedy stawka opiewa na 100 zł, a grający kokietyują los ogólną kwotą 50 100 zł, trzeba wypisać, w trzech egzemplarzach, aż 501 biletów! Zwariować można tym bardziej, że pensja kasjera sięga raptem 6 tysięcy miesięcznie, a pogrążyć mu w koniki nie wolno, bo to rozprasza uwagę, wpędza człowieka w marzenie o fukcie na torze, który za marne 50 zł zechce synąć choćby i dziewięcioma „kopernikami”. Oczywiście fukc zdarza się tak rzadko, jak olej słonecznikowy w sklepach, ale czy uważać to prawo do marzeń?

Powodzenie ekspozytury lubelskiej tłumaczy po trosze fakt, że przed wojną, podczas okupacji i krótko po wyzwoleniu odbywały się w mieście wyścigi konne, na torze znajdującym się blisko Bystrzycy, niedaleko obecnego osiedla Czuby. Kto wie, może wśród dzisiejszych amatorów totalizatora znajdują się i tacy, którzy pamiętają tamte czasy, kiedy faktycznie liczyła się znajomość możliwości konskich i dżokejskich, kiedy gonitwy

odbywały się na żywo, w zasięgu wzroku publiczności? No bo teraz, cóż, po prawdzie gra się „w ciemno”, jako że wokół ekspozytury hasają tylko konie mechaniczne, a to, co najważniejsze, dzieje się na Służewcu, z którym Rusałka połączona jest telefonicznie, nawet nie przy pomocy telewizji kablowej, albowiem jedna minuta eksploatacji takiego „szczytu” techniki kosztowałaby przedsiębiorstwo 30 tys. zł. Gra się zatem na odległość i na ucho, korzystając oczywiście z broszurowych programów służewieckich wyścigów, sprzedawanych zaraz po otwarciu kasy, czyli na godzinę przed rozpoczęciem gonitw w Warszawie. Kierując się takim informatorem i własnym rozpoznaniem sprawy, mając na względzie osobiste moce finansowe, „ociemniała” publiczność kupuje bilety na zakłady, do wyboru: zwyczajne, francuskie, porządkowe, łączne lub trzykonne. Stawki za pojedyncze zakłady są niewysokie, od 50 do 100 zł, ale odpowiednio zwielokrotnione czy skombinowane systemowo mogą przynieść wygrywającym nawet 500 000 zł. W Lublinie bodaj raz „trafiono” taką kwotę, na ogół szczęśliwcy biorą z kasy 20—40—70, bywa że 120 tys. zł. Warto przy tym wiedzieć, że z grubyh milionów, jakie przynosi sprzedaż biletów w skali całego przedsiębiorstwa, 75 proc. przeznaczają się na wygrane, 10 proc. odprowadza do skarbu państwa, a 15 proc. kieruje na utrzymanie i rozwój Państwowych Torów Wyścigów Konnych. Osoby o umiarkowanej skłonności do hazardu zwykle nie tracą na tej swojej słabości, nie-

ustannie manifestującej się w dziejach naszego gatunku. Zawsze natomiast ta poważna zabawa daje korzyści państwu. Nie chodzi przy tym wyłącznie o żywy pieniądź. Tor służewiecki spełnia przecież funkcje gospodarcze — jako miejsce treningu i prób dzielności w galopie koni pełnej krwi (angielskiej), czystej krwi arabskiej i angloarabskiej oraz pewnej liczby koni półkrwi, które w zależności od wieku biegają na różnych dystansach (od 1000 do 4800 m), w ramach gonitw klasycznych, pozagrupowych i grupowych. Koń, który pomyślnie przejdzie Służewiec, staje się koniem, a wracając do stadniny czy stada ogierów, w różnorodny sposób wzmacnia krajową hodowlę swoich krewniaków, którzy nie dają się jakoś wyprzeć z rolnictwa i w ogóle stanowią cenny towar, o czym m.in. świadczą dziennikarskie relacje z aukcji w Janowie Podlaskim (bardziej niestety oparte na znajomości kursów walutowych, niż na wiedzy o arabsach).

Obstawiają więc ludzie służewieckie konie: Boginię, Dysputę, Definicję, Intercluba, Demokrację, Dyspensę, Prezydenta, Empikę, Drinka, Waniaka, Dobrego Ducha, Narkotyka i co tam jeszcze przyjdzie do głów naszym kochanym słowotwórcom. Ale czy wiedzą, że imię „Jaka Miła” nie jest znów takim oryginalnym, skoro w międzywojennej hodowli Witolda Łosia w lubelskich Piotrowicach była „Moja Miła”?

„Ziemia lubelska od bardzo dawnych czasów znana była z produkcji dobrych koni i zamlotowania do tej hodowli” — stwierdził Witold Pruski, znakomity, niezwykły już hipolog, autor pierwszej monografii Janowa i wielu innych fundamentalnych publikacji o wiadomości tematyce. Tutaj żył i pracował Ludwik Grabowski (1829—1903), jeden z najwybitniejszych polskich znawców wszystkiego, co końskie: od hodowli poczynając, a na treningu i wyścigach kończąc. Założywszy stadniny w Łęcznej (1868), wkrótce przeniósł ją do Sernik pod Lubartowem, gdzie szybko rozwinął hodowlę pełnej krwi angielskiej, która zyskała mu wielką sławę na torach wędzicznych Warszawy, Wilna, Carskiego Sioła, Moskwy i Petersburga. Foscari Fine Mouché, Kordecki (F. Krakus, Sessin, Chambezy, Madame Ferrari i inne jego rumaki były kon-

kurentów już nie na głowę, ale o kilka długości! W ogóle wielki wpływ stadniny w Sernikach zaznaczył się w stadninach Królestwa Polskiego, Galicji, krajów nadbałtyckich, Rosji centralnej, Ukrainy, Donu, Kubania, Kaukazu, a nawet w krajach azjatyckich i na Dalekim Wschodzie. Z naszego punktu widzenia będzie też chyba interesujące, że to właśnie Grabowski „wychował w swej stadni królowych dżokejów i trenerów” — jako pierwszy w Polsce. Cześć! dotąd ścisli się na naszych koniach Włosi, Angliczanie, Niemcy i Francuzi.

Takie tradycje pięknie kontynuowano w latach międzywojennych, kiedy to Lubelszczyzna wyhodowała dużo koni sportowych, zwyciężających na olimpiadach i w pucharach narodów. Niewielu konkurentów znajdowały wówczas: Zbiżoz i Warszawianka A. Szepetyckiego, wspomniana Moja Miła W. Łosia czy Bambino S. Steckiego z Łańcutowa.

W dniach, kiedy odbywają się wyścigi na Służewcu, ekspozytura lubelską odwiedza zwykle jakieś sto osób zainteresowanych totalizatorem i możliwością natychmiastowej egzekucji ewentualnej wygranej. Typują, radzą się wzajem, nabywają bilety — dokumenty zawarcia zakładów. W dwudziestą minutę przed każdą gonitwą rozlega się dźwięk dzwonka, kasy zostają zamknięte, no i teraz wszystko zależy od koni, dżokejów, pogody i losu. Tymczasem kasjerzy obliczają na paszkach papieru ile i jakie bilety zechcieli kupić lublinianin na ten właśnie wyścig, a po kilku minutach w Warszawie już wiadzą (niezawodny telefon), co nad Bystrzycą piszczy. Dwadzieścia minut po zakończeniu danej gonitwy Służewiec dzwoni do Lublina i podaje rezultaty tego, co działo się na torze. Wiadomość natychmiast dociera do klienta drogą akustyczną i wizualną (tablica szkolna plus kreda), jednym przynosząc radość, innym smutek, aczkolwiek bywa i tak, że cała sala perkwiuje wesoło. Zdarza się bowiem, że bank zostaje rozbity, czyli wygrane przewyższają sumę uzyskaną przez ekspozyturę za sprzedane bilety. Co prawda nie ma to żadnego wpływu na sytuację finansową całego przedsiębiorstwa, ale poimad się można. Reakcje graczy są zresztą wielce róż-

Czesław Centkiewicz: — Biblioteki mają ogromny kłopot z klasyfikowaniem naszych książek. Pierwsze moje książki miały właściwie charakter reportaży. Narodziły się one, jak pan słusznie zauważył, z chęci podzielenia się swoimi przeżyciami. Nie można jednak wszystkich podciągnąć pod jeden schemat. Książka pt. „Czy foka jest biała?” to opowieść barwna, ciekawa i nasycona nastrojami. Z kolei opracowanie „Na podbój Arktyki” ma charakter dokumentu sfabularyzowanego. Z czasem w mojej i naszej wspólnej twórczości problematyka polarna ulega zróżnicowaniu. Staraliśmy się pokazać bohaterów w różnorodnych sytuacjach. Nasi bohaterowie dzielą się na odkrywców, zdobywców i badaczy polarnych (nagroda „Problemów”, jaką otrzymaliśmy, podkreśla ten podział). W miarę, jak zaznajamialiśmy się z problematyką polarną, zrozumieliśmy, że byłoby błędem ukazywać polskiemu czytelnikowi bohaterów podbiegunowych, którzy zawsze byli nieugięci. Osobowość bohaterów ulega pogłębieniu.

Alina Centkiewicz: — Zaczęła nas interesować nie tylko przygoda, ale zmagania człowieka z bezlitosną przyrodą w najcięższych warunkach. Tak powstały biografie: Amundsena („Człowiek, o którego upomniało się morze”), Nansena „Fridtjof, co z ciebie wyrośnie?”. Książka pt. „Nie prowadziła ich gwiazda Polarna” kreśli sylwetki czterech polarników: Dumont d'Urville, Norwega Borchgredina (pierwszy człowiek, który stanął na Antarktydzie), Shackeltona i Scotta.

Inspirowały nas także historie przypadkowo napotkanych ludzi. Na przykładu Dobrej Nadziei natknęliśmy się na czarnego chłopca, który uratował białą dziewczynkę. W tym kraju nie wolno było czarnemu dotknąć białego człowieka. W parę lat później napisaliśmy o tym książkę „Tumbo z Przylądka Dobrej Nadziei”. Na życzenie czytelników dopisaliśmy dalszy ciąg pt. „Tumbo nigdy nie zasnę spokojnie”. Teraz czytelnicy żądają trzeciego tomu. Nie wiem, czy taki powstanie, ale bohater „chwycił”. Słowem, genologicznie nasze książki zaliczają się do reportaży, biografii i historii. Jeśli nawet uciekamy się do fikcji, zawsze zasadniczy zrab naszych książek oparty jest na faktach prawdziwych.

— Wspólne pisanie książek z żoną rozpoczęło się od stworzenia znakomitej powieści dla młodzieży „Odarpi, syn Egigwy”, która doczekała się osiemnastu wydań. Jakie nowe pierwiastki sztuki pisarskiej wnosiła żona?

Czesław Centkiewicz: — Tak jak każda kobieta, żona zwraca uwagę na pierwiastki życia codziennego. W książce „Odarpi, syn Egigwy” punkt ciężkości położony jest na stosunek syna do matki. Pogłębieniu ulega psychologia postaci.

Alina Centkiewicz: — Dla nas książki o obszarach polarnych to nie tylko Wielka Biała Przygoda. Powiada się, że obszary polarne są kuźnią pogody, my wiemy, że to kuźnia charakterów.

— Gdyby przyszło państwu zbudować wzorcowy ideał człowieka, to jakie cechy bohaterów państwa książek powinien on posiadać?

Czesław Centkiewicz: — Wyszczególnienie cech naszych bohaterów zabrzmiłoby patetycznie, ale skoro pan pyta, spróbujemy je uporządkować. Przede wszystkim człowiek powinien posiadać odwagę, która nie może graniczyć z szalenstwem. To musi być odwaga rozumna. W drugiej kolejności wymienilibym wytrwałość w dążeniu do zamierzonego celu, ogromne poczucie odpowiedzialności. W tych najcięższych warunkach klimatycznych świata wiadać jak pod mikroskopem, z jakiego kruszcu odłany jest człowiek.

Alina Centkiewicz: — Ja dorzuciłabym duch zespołu. Jak pan widzi, uzupełniamy się. Tak powstawały nasze książki. Wiele stron, które nie zostały wspólnej akceptacji, wrzucaliśmy do kosza.

Czesław Centkiewicz: — Nie tylko w pisaniu zaznaczały się nasze odrębne stanowiska. Każda nasza wspólna podróż to dwie podróże. Alina inaczej ocenia górę lodową; interesuje ją barwa i kształt, natomiast ja obliczam, ile metrów sześciennych wody zawiera.

Alina Centkiewicz: — Powracając do pytania o ideał człowieka, pragnę zaznaczyć, że musi się on odznaczać cierpliwością, cierpliwością, ogromem cierpliwości.

— To, co zjednuje uczucie czytelników państwa książek, to umiejętność stopniowania napięcia, ukazania bohaterstwa człowieka w jego codzienności, dużą wiedzę, prostotę stylu. Czy mogłoby państwo zdradzić tajemnicę swego warsztatu pisarskiego, który decyduje o powodzeniu książek?

Alina Centkiewicz: — Tajemnicą jest to, że piszemy razem. Człowo oczu inaczej widzi niż dwoje. Mąż podchodzi do pisania z punktu widzenia bardziej naukowego, ja — emocjonalnego. Jak to wygląda na co dzień? Podczas podróży notujemy każdego dnia kilka stron: o morzu, pogodzie, rozmowach z ludźmi. Pamięć jest bardzo zawodna, trzeba żyć z piórem w ręku. Jeszcze Lepecki mówił, że podróżopisarz nie wypoczywa podczas swej wędrowki. Trzeba mieć otwarte uszy i oczy, a ponadto posiadać dar zauważania. Pedagogzy cenią sobie wychowawczy charakter naszych książek. Bohater naszych utworów stawiany jest w sytuacjach ciężkich, drastycznych, ostatecznych, poddawany ciężkim próbom, z których usiłuje wyjść zwycięsko.

— Raz w rozmowie z dziennikarzem stwierdził pan, że tematyka polarna jest tylko scenerią. Interesuje państwa przede wszystkim człowiek postawiony w warunkach najtrudniejszych, jego wybory moralne, hart ducha i wytrzymałość zarówno psychiczną, jak i fizyczną. Ciśnie mi się jednak na myśl pytanie, jaki pożytek mają ludzie z pokonywania ślepego żywiołu przyrody? Czy odwaga polarnika, tak jak himalaisty, nie jest tylko niebezpieczną igraszką?

Czesław Centkiewicz: — Pan chyba żartuje! Obowiązywanie przyrody to obowiązek człowieka.

Alina Centkiewicz: — Gdyby nie było zdobywców, odkrywców i badaczy, nauka nie mogłaby się rozwijać. Człowiek chodziłby po drzewach i wykrzesywał iskry z krzemienia.

— Zdaję sobie sprawę z niedorzeczności tego pytania, przejdę do następnego. Wiadomo mi, że od 1981 roku Szkoła Podstawowa nr 5 w Wałbrzychu nosi imię Aliny i Czesława Centkiewiczów jako jedynych spośród żyjących pisarzy. Posiadają państwo swoje „miejsce na ziemi”, nazwę „Wzgórze Centkiewiczów” w Oazie Bungea na Antarktydzie. Jakie inne dowody uznania spotkały państwa za udział w wyprawach polarnych, dalekich podróżach i napisanie o tym tylu pięknych książek?

Alina Centkiewicz: — Napisaliśmy trzydzieści dziewięć książek, jeśli liczyć te, które nasz stwórzył oddzielnie. Rozeszły się one w nakładzie sześciu milionów egzemplarzy. Za granicą wydano milion siedemset tysięcy naszych książek w siedemnaście językach. Łącznie mieliśmy pięćdziesiąt siedem tłumaczeń na języki obce. Osiem naszych książek opublikowano alfabetem Braila. Dwie pozycje zostały nagrane na taśmach magnetofonowych z przeznaczeniem dla ociemniałych. Współpracowaliśmy z pięcioma wydawnictwami. Cieszy nas również stała obecność naszych utworów na liście lektur szkolnych. Obecnie jest zalecana do użytku szkolnego książka dla najmłodszych „Zaczarowana zagroda”, a dla starszych — „Anaruk, chłopiec z Grenlandii” i „Czy foka jest biała?”. W różnych okresach do lektur zaliczają się książki: „Odarpi, syn Egigwy”, „Nansen” i „Fridtjof, co z ciebie wyrośnie?”.

Czesław Centkiewicz: — O wyróżnieniach i dowodach uznania można by mówić długo, ale najmiłsze są nam głosy i listy czytelników. Wielbiciele mamy wielu.

— Czy nie uważają państwo, że zainteresowanie krytyki nie odzwierciedla rangi pisarstwa, które państwo uprawiają?

Alina Centkiewicz: — Inspiracją do pisania były zawsze głosy czytelników. Jeśli natomiast ktoś chciałby zapoznać się ze skalą zainteresowania krytyki, może wejrzeć do wycinków prasowych, które znajdują się w Domu Literatury przy Krakowskim Przedmieściu. Zapewniają one kilka pełnych teczek. Poza tym jesteśmy szczęśliwi, że w 1973 roku ukazała się monografia Antoniego Olchy pt. „Centkiewiczowie”. Z głosów krytycznych pamiętam jeden zarzut: że piszemy książki jak żywoty świętych, bo przedstawiamy zwykle piękne postaci. I ta uwaga miała ten wpływ, że zaczęliśmy uwzględniać w naszych książkach również nieudane wyprawy. Ten głos był wyjątkiem.

— Jakie państwo snują plany pisarskie na najbliższy okres?

Alina Centkiewicz: — A czy pan zdaje sobie sprawę, ile liczymy lat?

— Owszem, wiem.

Alina Centkiewicz: — W tej chwili piszemy dla siebie. Zdradzę panu, że są to pamiętniki. Nie piszemy z zamiarem ich publikowania.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: Stanisław Stanek

niocowane. Pewien pan postawił w zakładzie łącznym (triple) 20 tysięcy, a kiedy okazało się, że przegrał, to nawet nie machnął dłonią, prawda — ciężka od złota.

Nieco mniej osób pojawia się w ekspozyturze we wtorki i piątki, kiedy czynne są tylko kasy przedsprzedaży, oferujące zakłady trzykonne (trójka) i typu tripla, który polega na wskazaniu koni mających zająć pierwsze miejsca w trzech kolejno następujących po sobie gonitwach. Aby trafnie przewidzieć taki układ, trzeba być jasnowidzem, jako że kompetencje hipologiczne tu nie wystarczą. Rzecz w tym, że na 700 koni Służewca aż 500 pojawiło się tam niedawno i nawet dżokeje niezbyt orientują się w ich możliwościach. Przy okazji warto zauważyć, że oszustwa na torze raczej nie wchodzi w rachubę, nie mówiąc już o innych ogniwach wyścigowego łańcucha, umocowanego wedle najlepszych wzorów angielskich regulaminów. Jeśli jednak dżokej próbuje faworyzować podczas gonitwy, realizując jakiegoś niejasnego zamówienie, nie może liczyć ani na ślepotę, ani na pobłażliwość specjalnej komisji, która w liczbie kilkunastu osób obserwuje wyścigi. Wystarczy, że taki niewysoki i wczupliutki pan — im starszy, tym lepszy w zawodzie! — da się po prawej wyprzedzić tzw. uczniowi, już zostaje za karę sioleszony, czyli okresowo oddalony od konia, co odbija się na jego kieszeni i autorytecie. Prawda, kilka lat temu cieżko pobito na Służewcu pewnego dżokeja, ale o czym to mogło świadczyć?

Lublinianie zawierają zakłady, nie widząc ani koni, ani dżokejów, ale w tajemniczy sposób twierdzą, że nie osłabia to wcale ich emocji, skoncentrowanych na samym totalizatorze. Gdyby na torze ścigały się psy, bodaj i koty, byłoby podobnie. Pewne zacięcie hipologiczne ujawniają ponoć tylko poniekąd starzy bywalcy ekspozytury, jacy w sile około 20 osób regularnie typują koniki.

Ala wiadomo też, że ten i ów z nadbystrzyckich amatorów turfu nie może obyć się bez wyścigów na żywo i nadal, jak przed laty, jeździ do Warszawy. Bo tam jest legenda, smak, temperament i rżenie koni...

Służewiec otwarto w 1939 roku jako obiekt spełniający wszelkie kryteria nowoczesności, posiadający tor wyścigowy do biegów płaskich, z płotami i przeszkodami (steepchase) oraz tor treningowy o bieżniach płaskowych, ziemnych i trawiastych. Uznawany za najciekawszy w Europie, pod względem jakości porównywany bywał do słynnych torów brytyjskich: Newmarket, Ascot, Epsom i Doncaster, czy francuskich: Longchamp, Auteuil i Chantilly.

Wyścigi konne, początkowo bez totalizatora, zainicjowano w Warszawie oczywiście znacznie wcześniej, bo w roku 1841, a więc z dwuletnim opóźnieniem wobec Pa-

znania i z takim samym wyprzedzeniem w stosunku do Lwowa. Pierwsze gonitwy odbywały się w rejonie rogatki mokotowskiej, w miejscu wyznaczonym — wstyd powiedzieć — przez namiestnika Paskiewicza. Impreza z miejsca podbiła Warszawę, weszła do kalendarza cenionych spotkań towarzyskich, gromadząc na trzech trybunach komplety publiczności.

„O czwartej po południu już się część miasta, przyległa alej łazienkowskiej i mokotowskim rogatkom, napełniała zaczyna niezliczonymi powozami — odnotował Władysław Weżyk w czerwcu 1841 roku. — Boczniemi alejami jeźdźcy jada konno. Czworkonne omnibusy dowożą [...] do rogatki licznych amatorów, a środkiem ulicy postępuje wielki, odkryty szaraban, zaprzężony sześcioma począstymi kofmami, prowadzonymi przez dwóch wygalowanych pocztionów, którzy na przemił, lub razem grają w trąbki. Na omnibusie siedzi kilkunastu weselnych młodzieńców z cyzarem w ustach, z szambanem w czubku, z sieruta w reku

i z czerwonymi kartami akcyonariuszów rzeczywistych na kapeluszu! Przed nimi dżokej maleńki w ponsowej aksamitnej kurtce postępuje stępo na koniu”.

Szczęścia w totalizatorze lubelskim próbują też panie, obliczane na sztuk dziesięć, przy czym jedna przybywa czarnym mercedesem. Miłe to zjawisko, przypominające tradycje bardzo odległe, aż średniowieczne, kiedy to kobiety należące do „noblessy” musiały umieć obchodzić się z końmi i uwielbiały turnieje rycerskie. Co prawda nasze damy kontaktują się zwykle z końmi tylko za pośrednictwem stosownej grafiki na okładce programów wyścigów służewieckich, ale cóż, dobre i to. Może zresztą i w Lublinie dojdzie kiedyś do sytuacji, zapisanej w kronice z XV wieku:

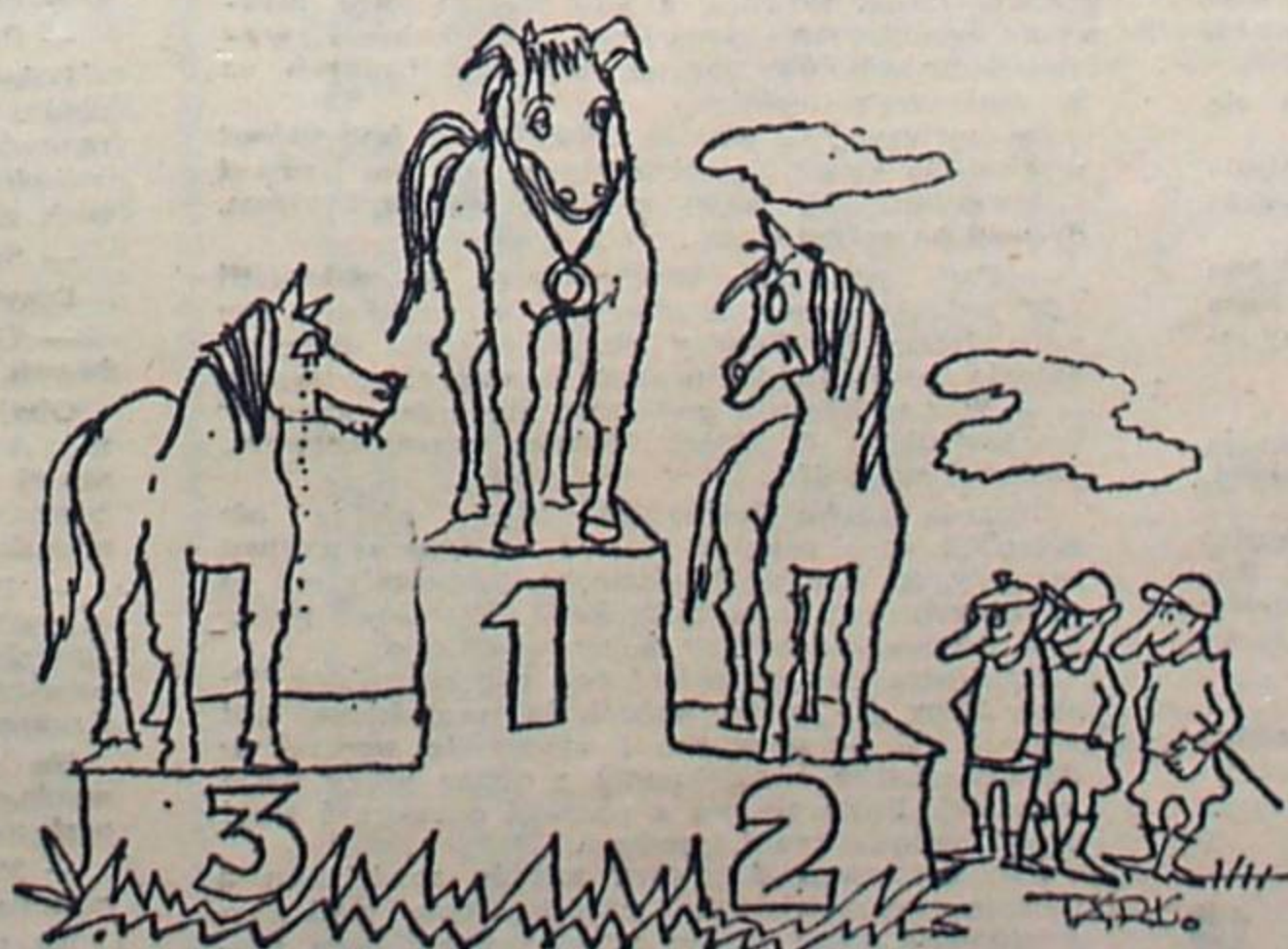
„Na jednym z turniejów panie w ciągu zapasów rozdawały zwycięzcom tak gwałtownie ozdoby swych sukien, że pozostały w pewnym momencie niemal, nago. Zawstydzily się w pierwszej chwili piękne panie bardzo, lecz widząc, że wszystkie znajdują się w tej samej sytuacji, zaczęły się śmiać z przygody”.

Tymczasem, nim w Lublinie pojawi się rycerz, który dwa razy w jednym tygodniu wygra tripla za milion, rodzimy naszym damom, by w przerwach między zakładem zwyczajnym a porządkowym poświęciły sobie krótki galop, priuety, wolty i passady, techniki wielce cenione w eleganckich sferach plutokracji.

A wszystkim innym czytelnikom tego tekstu przypominamy, że „jak się nie wie, jak się gra, to się gra jedyn — dwa”.

Wasz sprawozdawca zlekceważył tę zasadę, zagrał „dwa — pięć” z listy programu torów służewieckich, tracąc tym sposobem całe 50 złotych...

Włodzimierz Jona



Wspomnienia Adama Ochockiego z lat wojny (5)

NIESPELNA dwa lata minęły, jak rozstałem się z maszyną do pisania i krajem, a w ilu już zawodach próbowałem swych sił. Szofer (pół godziny), tapers, motornicy (kilka dni), pikolaki, drwal, tragarz. Byłem jeszcze poganiaczem wielbłądów, woźnicą, nauczycielem, skoczbrudzą, ale to dalsze dzieje mojej wojennej wędrówki. Na razie, pracując na liesopowale, przyjąłem pół etatu u pana Krawca, jako jego osobisty służący.

Racja, przecież nie wiecie, kto zaczął. Imć pan Krawiec również wykonywał obowiązki drwala u Eljana, poza tym codziennie rano z kimś jeszcze, za lepsze talony i garbuszki, taskal kilkadziesiąt kilogramów chleba dla całej brygady, a że apetyt miał nieposkromiony, po powrocie z robót zgłaszał się do skrobania kartofli. Fasował za to z kuchni resztki jedzenia — zupę, groch, kaszę, o-maszczone ziemniaki. Z wypełnioną posudą wracał do baraku i zabierał się do konsumpcji, ciekając i mlaszcząc potwornie.

— Panie Krawiec — zwróciłem mu kiedyś uwagę — niech pan je trochę ciszej, tu leżą głodni, to donerwuje...

— Jak się komuś nie podoba, niech się nie patrzy! Zastrany inteligent!

Z nikim się nigdy nie podzielił. Rano wyrzucał na śmietnik nie dojedzone, skwaśniałe zarcie, szedł do roboty, ażeby wieczorem, gdy zmordowani kładliśmy się spać, znowu odbyć pielgrzymkę do kuchni.

Utykał na jedną nogę, jego chód przypominał dreptanie kaczkę. Bez względu na pogodę nie rozstawał się z wytłuszczoną malachajką, a wyszczerbioną, drewnianą łyżkę zatykał za cholewę walonek.

— Panie inteligent! — zawołał kiedyś z wysokości swej pryzy. — Mam dla pana propozycję. Nie chce mi się chodzić z talonami po jedzenie. Pan będzie mi przynosił, ja będę pana podkarmił! A tu masz pan zadatek! — rzucił mi kromkę czerstwego chleba.

„Gdzie woda była, tam woda będzie” — pomyślałem i ofertę przyjąłem. Gdy humor mu dopływał, tytułował mnie „panie inteligent”, gdy oś ugryzło, dodawał „zasrany”. Przy lada okazji rzucał mięsem, żeby to chociaż była cielecina, kawałek schabu, ale takimi smakolijkami nas nie karmiono.

Narzędzia do pracy, pily, topory, kliny, pobierałiśmy i oddawaliśmy na miejscu robót, w instrumencie. Władal nią diadzia Siemion, siwo-włosy starzec, ze śmiesznie sterczącymi na czubku nosa okularami. Był nieocenionym źródłem informacji o tym, co się dzieje na świecie. Wprawdzie przed kancelarią, w gablotach za szkłem, wlepiano gazety, ale przychodziły z opóźnieniem, a diadzia miał najświeższe wiadomości z radioteleki. Poza tym nie każdy z nas umiał czytać po rosyjsku.

— Niechoroszo, riebiata — kręcił głową. — Germańcy następują. Idą przez Białoruś i matuszkę Ukrainę. Wczoraj zajęli Lwów...

Przed oczami stanęła mi postać kochanej pani Soni, jej męża. Czy zdążyli uciec? Niestety, jak się później dowiedziałem, obydwójce zginęli z rąk hitlerowskich siepaczy. Gdyby mnie wtedy przypadkowo nie zabrano z Jerzym i Mietkiem, niechybnie podzieliłbym los Melmanów.

Wojna trwała już kilka tygodni. Zaskoczona armie radzieckie cofały się, oddając miasto za miastem. Nad nami niebo było czyste, ale na jak długo? Każdej chwili można się było spodziewać nalotu i bombardowania.

W drodze po jedzenie, jak zwykle, zatrzymałem się przed gablotą z „Prawdą” i „Izwestiami”. Można uwagę przykuła notatka, wciśnięta między problemowy artykuł na dwie szpalty a doniesienie z zagranicy: w imieniu polskiego rządu emigracyjnego general Sikorski podpisał ze Związkiem Radzieckim układ o wznowieniu stosunków dyplomatycznych! Gazeta był z lipca 1941 roku.

— Panowie! — zawołałem, wpadając jak bomba do baraku! — Sensacja! Zostały wznowione stosunki dyplomatyczne między polskim i sowieckim rządem!

Nowina nie wywołała entuzjazmu, jakiego się spodziewałem.

— Co to nam da? — wyraził ktoś swe wątpliwości, wybierając łyżką resztki kaszy z manierki. — Czy to jest dobre dla nas?

— To jest bardzo dobre dla nas wszystkich! Nie rozumiecie, że w ślad za tą umową zmieni się kurs w obozie, będą nas lepiej traktować, możemy oczekiwać aktu łaski, wyjścia na wolność!

Ten i ów sceptycznie pokręcił głową.

— Obóz opuścimy, to pewne. Niemcy nacierają ze wszystkich stron. Przeniosą nas gdzieś indziej, dalej od działań wojennych, może na Sybir?

Na razie w sytuacji naszej nie się nie zmieniało. Chciałem wykręcić się od pracy fizycznej. Zaproponowałem prarabowi: będę redagował gazetkę obozową, aktualne wiadomości, zarządzenia, wierszyki da pokrępienia ducha.

Zapalił się do tego nie mniej niż ja.

— Ocen' choroszo! Dam tiemie skolko ugodno bumagi i czernila. Pisz sobie ile chcesz po przyjeździe z lasu!

Toś ty taki cwaniak? Śmierć frajerom! Z gazetką zrezygnowałem, za to po paru dniach błysnąłem nowym pomysłem, który miał mnie wywyższyć w hierarchii obozowej bardzo wysoko i podporządkować mojej skromnej osobie wszystkie polskie brygady.

Wyznaczono nam nowy odcinek pracy: budowę nasypu pod kolejkę wąskotorową, przeznaczoną do przewozu budulca. Teren, na którym pracowaliśmy, był nierówny, miejscami wznosił się nad ustalony poziom, miejscami opadał. Ziemię ze wzniesień przewoziłiśmy taczkami, wysypywaliśmy w pobliżu, skąd zabierały ją inne grupy i również taczkami transportowały do nizinnych miejsc, gdzie ziemi brakowało.

Pomyślałem: a gdyby tak ziemię od razu wozić ze wzniesień do nizin, z pominięciem bezproduktywnego wysypywania po drodze? Dałoby to kolosalne oszczędności czasu. W dodatku piorunem obliczyłem, ile metrów sześciennych ziemi zawierać będzie formowany nasyp. Gdy prarab bieżał się nad liczydłami, przerzucając nerwowo drewniane paciorki na drutach, zastosowałem wzór geometryczny, jedyny zresztą, jaki mi został w pamięci ze szkolnej edukacji. Dodałem podstawę nasypu (miał w przekroju kształt trapezu) do jego

Wychodzimy na wolność

wierchołka, otrzymaną sumę przemnożyłem przez laufmetry i obwieściłem triumfalnie:

— Etowo budżet, grażdanin prarab, dwadcać czetyre tysiacz piat'sot kubikow!

Jeszcze kilka minut męczył się z liczydłami i z uznaniem poklepał mnie po ramieniu.

— Molodiec! Toczno ugadał!

Po czym odwołał mnie na stronę, zapytał o to i owo.

— Zaproponuję, żebyś został dziesiątnikiem. Masz leć na karku.

Prarab już wcześniej zwrócił na mnie uwagę. Na liesopowale nie było szaleców. Zastępowały je kopane przez nas doły, które dla przyzwoitości zastanawiano się szczytami, dwuskrzydłowymi parawanikami.

— Ciekawe, kiedy te doły zapełnią się? — męczył głośno któryś z naszych.

— To zależy też od tego, ile będziemy dostawali chleba — dorzucił mądrze któryś. I zaczął obliczać: dół ma tyle a tyle metrów sześciennych, jest nas dwudziestu czterech, licząc po kilogramie chleba na każdego, to...

Wtrąciłem się do dyskusji, wytłumaczyłem, że kilogram zjedzonego chleba, to nie kilogram tego, co oddamy, że proces spalania, wpływy atmosferyczne...

Prarab przysłuchiwał się naszej rozmowie, potakiwał moim słowom, a gdy jeszcze teraz błysnąłem nowatorskim pomysłem i dokładnym wyliczeniem kubików nasypu, nie miał żadnych co do mnie wątpliwości.

Do awansu nie doszło. Wieczorem komendant wezwał do siebie Feichenfelda, a gdy ten wrócił z kancelarii, nie mógł z siebie wydobyć słowa, dygotał na całym oleje.

— Pan... panowie... Wychodzimy... na wolność!!!

W polskiej stronie zakotłowało się. Radosna nowina lotem błyskawicy obiegła baraki. Bractwo obiegło Feichenfelda, prosząc o szczegóły, termin...

— W najbliższych godzinach nadejdą szczegóły we instrukcje, O, Boże!... Koniec naszej niewoli... Wolność, wolność!...

Twarda sztuka Feichenfeld, który nieraz nie szczędził nam ostrych słów i w ryzach trzymał brygady, rozkleił się jak dziecko. Lzy ciekły mu po pooranych brudami policzkach. Wszyscy poiągali nosami, padaliśmy sobie w objęcia.

Nazajutrz nie wyprowadzono nas na roboty. Ustawiliśmy się przed kancelarią, sam komendant wywoływał po nazwisku i uroczyście wręczał u dostawienie o zwolnieniu z obozu pracy przy-musowej. Postanowiłem się z pamięci odtworzyć treść tego historycznego dokumentu.

„Na osnowaniu dogowora między sowieckim a polskim prawitielstwem amnistujeta polskowa grażdanina... Imlejet on prawo swobodnowo pro-ziwania na territorii Sowietkowo Sojuza za iaktier-

zeniem oblasnych gorodow, zaprietnyh zoni i miestnost' obrazowannyh na wojennom polozhenii”.

Chyba nie trzeba tłumaczyć. Zostaliśmy objęci amnestią i mamy prawo przebywania w dowolnie wybranej miejscowości na ziemiach radzieckich z wyjątkiem miast wojewódzkich, zamkniętych stref i terenów objętych działaniami wojennymi.

Dokąd chcecie jechać? W zależności od wybranej trasy wyliczano dni podróży, od tego zależała suma wypłacanych pieniędzy na bilety kolejowe i ilość chleba na drogę.

Różnie różni wybierali. Jednemu spodobały się okolice Astrachania, innemu zniecił obwód kujbyszewski, jeszcze komuś przypadła do gustu Grozja. Postanowiłem zdać się na zrządzenie losu. Podszedłem do wiszącej na ścianie mapy, zamknąłem oczy i wycelowałem palec.

— Machaczkała!

— Co was ciągnie w tamte strony? — zdziwił się komendant.

— Tam od lat mieszka moja ośotka. Dawno nie miałem od niej wiadomości...

Machaczkała, to Machaczkała! Wydano mi na-prawienie, wypłacono diety, po chleb kazano się zgłosić w dniu opuszczenia obozu.

Kilku stojących z mną kolegów wiodło ożywia-ną rozmowę.

— Słyszalesz? Adam jedzie do jakiejś Machaczkały. Jedźmy też, to cwaniak, miał zostać naszym dziesiątnikiem!

Poprosiłem prarab o pożyczanie podręcznika geografii. Muszę przecież wiedzieć coś bliższego o miejscowości, do której, Bóg wie na jak długo, mam się udać! I po kwadransie byłem obkuty jak przed egzaminem w szkole.

— Dlaczego pan wybrałeś to miejsce? — dopytywali się ci, co poszli za tym przykładem. — Co tam jest? Można się będzie za oś zlapać? Gdzie leży ta cała Machaczkała?

— Nie wiecie? To słynny port nad Morzem Kaspijskim, zatręśnienie ryb, wytwórnice win. Bogate złoża ropy naftowej, a gdzie nafta, tam dobrobyt. To stolica Dagesteńskiej Autonomicznej Republiki Rad! — popisałem się z nie ukrywaną dumą.

— Pan wybrałeś, pan wiesz najlepiej — orzekli moi przyszli towarzysze podróży. Było ich ośmiu, dziewięciu... Żałowałem, że Krawiec z nami nie pojedzie, dałbym mu szkołę.

Zgłosiliśmy się z pokwitowaniem do magazynu. Każdemu wydano wszystko, co oddał do depozytu. Odzyskałem moją kieszonkową „Cymę” ze srebrnym łańcuszkiem i dewizką, kilkadziesiąt rubli z których beczceremonialnie ogolociłem kolegów w koszarach na Piotra i Pawła, złotą obrączkę. Ale gdy pokazałem karteluszek z pokwitowaniem przyjęcia mojego ubrania z pepity, które wręczyłem przybyłej do obozu oiażarówką ekipie, magazynier zaszepił się.

— Ty też? Już tu było kilku. To jakaś afera, powiadomię komendanta.

Komendant o niczym nie wiedział. Zrozumie-liliśmy, że tamte rzeczy przepadły. To był bandycki najazd rabunkowy. Może członkowie tej ekipy działali w znowie ze strażnikami, bo inaczej jak by się dostali do strzeżonego obozu?

Niektórzy spośród nas zachowali swoje cywilne ubrania, koszule. Przebrali się, a ja, niestety, zostałem w tym, co miałem na sobie — w drelichowych spodniach, takiejż bluzie i trzewiakoach na podszewie z opony samochodowej.

Wymarsz wyznaczono na następny dzień. Ktoś zdoła opisać nasze uczucia, gdy po raz pierwszy przelomozaliśmy wrota obozu bez straży? Maszerowaliśmy zwartym szykiem jak uskrzydleni, to-boły na plecach nie ciężyły.

Stacja kolejowa znajdowała się w odległości kil-la kilometrów. Feichenfeld, nadal uważaliśmy go na swego przywódcę, zarządził krótki popas na polanie koło lasu.

I kiedy leżeliśmy pokotem na ziemi, gorączkowo rozprawiając o swoich dalszych planach, nagle ktoś zawołał:

— Patrzcie, kto idzie!

Polną dróżką szło dwóch wyelegantowanych fa-ocetów ubranych jak z igły, w pięknie skrojonych marynarkach, koszulach, pod krawatami, w wy-sokich blyszczących butach z wpuszczonymi do nich spodniami galifé.

— Szlama! Kuba!

Przypadli do nas, ściskając wszystkich po kolei.

— Co się z wami działo? A myśmy was opar-kiwali.

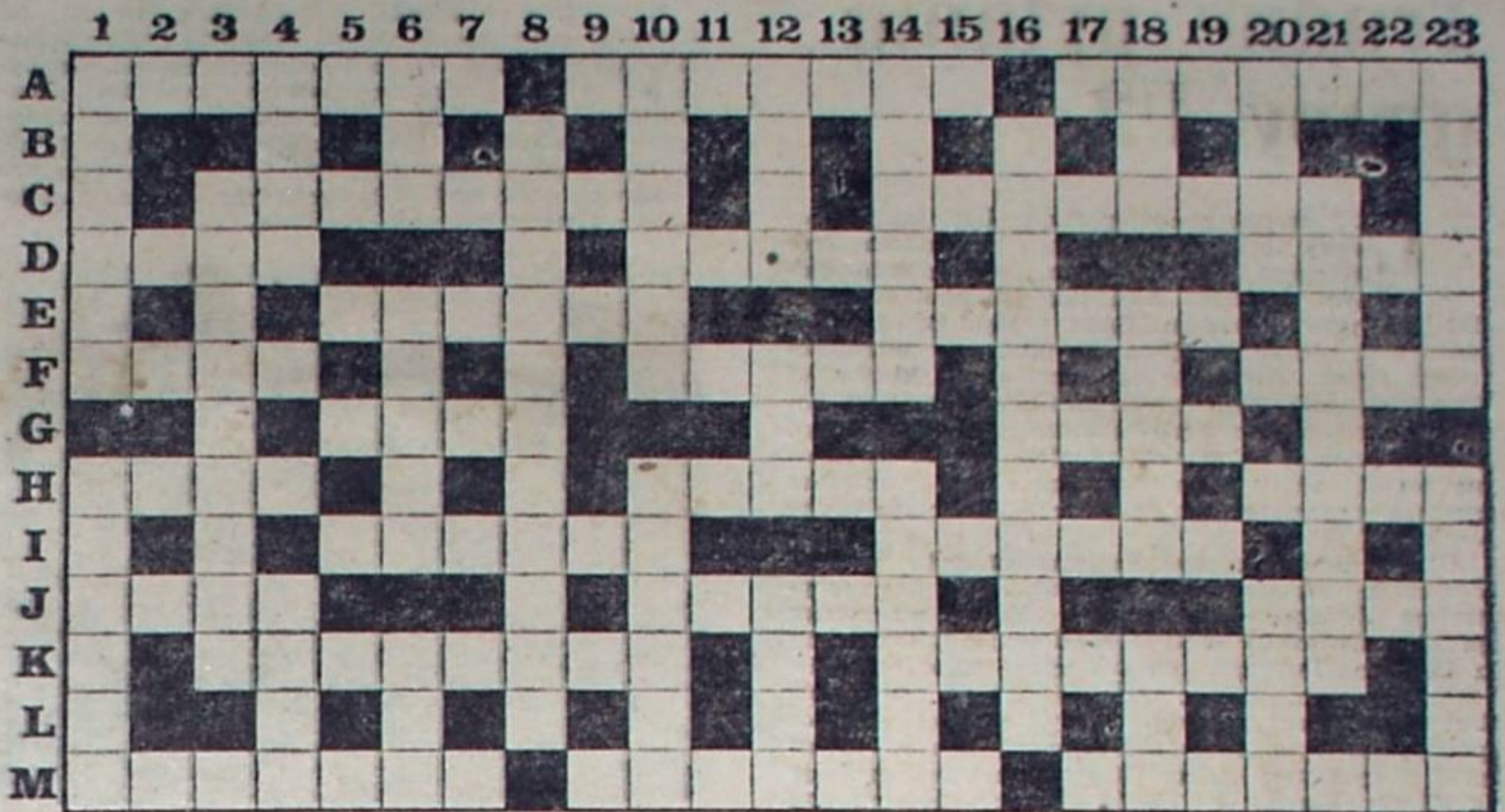
Obaj po niefortunnej ucioczce trafili do więzie-nia. A że jeden był dobrym krawcem, a drugi nie mniej wykwalifikowanym mistrzem kopyta, za-trudniono ich przy szyciu odzieży i obuwia dla naczałstwa.

— Ptasiego mleka nam nie brakowało. Zarcia ot tak! — Kuba sięgnął palcem pod nos. — Do-stawaliśmy pieniądze, trochę się kupiło, trochę zaoszczędziło, no i sami widziacie — diercił się dumnie na pięcie.

Na skraju lasu, na kępie melu, wypoczywał, wyściągający jak długi, nasz podrabinek. Przypom-niał mi się inżynier z obozowego szpitala.

— Mam fraszkę o panu. Zyd odpoczywający jak pan na leśnym runie to „Amchu na mobu”.

Na pociąg do Iwanowa, gdzie mieliśmy się po-prowadzić na pociąg zjazdający w wybranych przez



nas kierunkach, czekaliśmy kilka godzin. Podróż odbyliśmy w komfortie, w osobowych przedziałach, rozpięając się wygodnie na ławkach.

Czas jazdy skracał się snuciem planów na najbliższą przyszłość, opowiadaniem dowcipów, piosenkami. Na ogólne żądanie niezrównany Chaim zaśpiewał jeszcze raz smętną balladę o Kasli i Jasiu, co miał tylko jedno pole, a ja uczyłem tych towarzyszy piosenek, które przyswoiłem sobie u Melmanów, słuchając wokalnych popisów komandira z Kijowa.

Kompania podchwytowała ostatnie wersy, przedział tętnił gwarem i śmiechem, i aniśmy się obejrżeli, jak pociąg wysadził nas w Iwanowie, dawnym Iwanowo-Wozniesieńsku, słynnym z przemysłu włókienniczego. Przenocowaliśmy w ewakopunkcie, a rano udaliśmy się całą grupą na śniadanie do fabryki-kuchni.

Ulicami defilowały oddziały krasnoarmiejców. Śpiewali znajomą piosenkę, ale ze zmienionymi słowami:

Jeśli zawtra wojna, pieci jeszcze wczera, a siewodnia wojna nastąpiła...

Fabryka-kuchnia, gigantyczna stołówka obliczona na kilkuset konsumentów, serwowała kaszę jaglaną okraszoną roślinnym tłuszczem. Zamówiłem bodaj jedenaście porcji, inni podobnie. Miski ustawiliśmy w szeregu na stole i ku zdumieniu obecnych opróżniliśmy je, zagryzając zafasowanym w obozie chlebem. Szybko zorientowano się, jacy to goście zwalili się do stołówki. Kilka kobiet podeszło do najbliższej siedzących, jedna rozdzieliła pomidory, inna opróżniła swą ceratową torbę z owoców i ogórków.

Nadszedł moment rozstania. Wymienialiśmy swoje domowe adresy w Polsce, jak się wojna skończy, koniecznie musimy się spotkać, powspominać przeżyte wspólnie dni.

Pociąg do Machaczkały odchodził pierwszy. Sporo naszych jechało w tym kierunku, po drodze czekały ich przesiadki. Ja i moja grupa podopiecznych zajęliśmy cały przedział. Współtowarzysze wyprawy prześcigał się w świadczeniu mi różnych przysług — widzieli we mnie swego przyszłego przywódcę.

Machaczkała przywitała nas niebywałym gwarem. Perony, poczekalnie dworca klębiły się od tłumów. Pociąg za pociągami wysadzał ucieleśnieńców z terenów zagrożonych najazdem Niemców. Dyżurnicy pracownicy ewakopunktu skierowali nas do tymczasowego miejsca pobytu.

— Dostaniecie noclegi, a tych, co zechcą tu pozostać, zatrudnimy w rejonie. Dla nikogo nie brakuje roboty!

Ano zobaczymy. Najpierw musimy odpocząć, podjeść, dopiero potem rozjeżdżymy się w sytuację.

Baraki ewakopunktu okazały się komfortem w porównaniu z obozowymi. Niezbyt duże pokoje, wygodne sienniki, poduszki, szafki na rzeczy osobiste, umywalki z bieżącą wodą, ubikacje na korytarzu.

Rano odbyliśmy krótką naradę. W Machaczkałe nas nie zameldują (miasto wojewódzkie), zanim jednak przeniesiemy się do rejonu, warto na miejscu trochę podreperować kleszenie. Ktoś doradził: Rybnyj zawod, wytwórnia konserw rybnych. Pojechalśmy tramwajem, wykupując bilety, jak przystało na porządnych obywateli, bo do Iwanowa odbyliśmy drogę na gapę.

Dyrektor wytwórni, do którego dotarliśmy dzięki moim perswazjom, że grupa polskich grażdan, amnestiowanych na osnowaniu itd., ma do niego bardzo pilny interes, wysłuchał nas życzliwie i powiedział:

— Nie dacie rady zarobić tu na życie. Praca trudna, wymagająca znajomości fachu. Pokaleczycie sobie ręce, rany, do których dostaje się jad rybi, goją się ciężko. Radzę wam z całego serca — poszukajcie sobie czegoś innego...

Wizyta w fabryce włókienniczej również zakończyła się fiaskiem. Owszem, poszukują robotników — specjalistów, tkaczy, przedziałników, snowaczy, farbierzy, a nikt z nas nie miał pojęcia o tych zawodach.

— Mam pomysł — powiedziałem na widok zawiedzonych min moich podopiecznych. — Widzicie, dzielicie te tłumy przejeżdżnych na dworcu? Będzie przybywać coraz więcej ludzi, każdy wiezie ciężkie walizy, nie jak my. Pomóżemy im w przenoszeniu bagaży. Zostaniemy nosilszczykami!

Pomysł okazał się trafny. Podróżni ustawiali się do nas w kolejce.

— Nosilszczyki! Nosilszczyki! — wołano ze wszystkich stron, a my chętnie świadczyliśmy usługi, przenosząc bagaże do ewakopunktu, bo o znalezieniu wolnego miejsca w hotelu, nawet za bajecznie wysokie sumy, nie było co marzyć. Poza pieniędzmi wpychano nam do ręki kielbasę, pieczywo, masło śmietankowe, owoce, czekoladę. Każdy już dysponował sporą gotówką, pieniądze chowaliśmy za koszulę w obawie zetknięcia się z karmanszczykami, masowo grasującymi złodziejami kleszonkowymi.

Tak więc do okazałej listy wykonywanych przez mnie zawodów, życie dopisało mi jeszcze jeden: nosilszczyk. A propos...

Na dworzec wjechał przepelniony pociąg. W oknie wagonu stanął zażyły obywatel.

— Nosilszczyki! Nosilszczyki! — zawołał. Podszedł tragarz.

„Ten to dopiero musi mieć bagaż” — pomyśleli tragarze i jeden za drugim zmierzali do pociągu.

— Wsie! Wsie nosilszczyki! ka mnie!

A gdy przy wagonie skupiło się dwudziestu kilku tragarzy, grażdanin z okna zawołał, wznosząc rękę w powitalnym geście:

— Płamiennyj priwiety od wszech nosilszczyków iz Taganroga (Gorące pozdrowienia od wszystkich tragarzy z Taganrogu!). Nam na szczęście trafiali się lepsi klienty...

(cdn.)

P o z i o m o: A, pracownik kontroli jakości ■ był nim Janosik ■ ozdobne obramowanie tarczy herbowej, C, naprzeciw Czorsztyna ■ przecinek u góry po Herze, D, urok ■ kasztan jadalny ■ miasto w woj. suwalskim, E, ślepy materiał zecerski ■ popularne sztuczne tworzywo, F, miara papieru ■ Warszawy lub Literackie ■ jeden ze zmysłów, G, cały kawałek kielbasy ■ syn i mąż Jokasty, H, rzeka Kielecczyn ■ piękno ■ popularny angielski pistolet maszynowy, I, upośledzony społecznie ■ wysoki, sterczący szczyt w Tatrach w Słowacji, J, faleza ■ choroba, której bakterie rozwijają się w końskim nawozie ■ śląska gra w karty, K, dawna szabla polskiej szlachty ■ nauka o równowadze w naturze, M, lekarski przepis ■ lubi okrucieństwo ■ rdza.

P i o n o w o: 1, Pan... w Brazylii ■ napój bogów, 3, przypadek, 4, stolica państwa arabskiego ■ marszcza powierzchnię wody, 6, pierwiastek promieniotwórczy ■ część stopy ■ część teatralnej sztuki, 8, uzdrowisko z łąziami, 10, kompromitacja ■ sejmowy akt prawny, 12, biblijny ojciec wskrzeszonej dziewczynki ■ podatek za przewóz towaru przez granicę ■ królewskie kopalnie, 14, miejsce zwycięskiej bitwy Powstania Listopadowego ■ kwartalnik literacki, 16, domowy nauczyciel, 18, piłka za boiskiem ■ małżonka Ozyrysa ■ organ wzroku, 20, ślad ■ drobny przetak, 21, zbiór filmów, 22, na grzbiecie żmii ■ przyroda.

S Z Y F R

H1, C4, M2 /A21, F21, K20, J13, 115, E7/J16, M12 K17, J1, C20/J10, D8, D14/A15, M6, H12/C17, J3, G6/L14, D21, H22/K12, K5, M18, M.11, D23, E18, G12).

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bon książkowy wartości 500 zł.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 16 Z SZYFREM

Pozłomo: konieczność, Skamandryta, zima, potwierdzenie, boja, kamasze, zgłoska, Merkur, Szczecin, Dżuma, realista, trabant, kwartał, Otranto, cykl, kontrasygnata, kłoc, anachronizm, przychodnia.

Pionowo: kozak, tęcza, mucha, Hawa, boleć, przecinek, nuta, dno, Anin, śnieg, wyraz, łyżka, Arno, rosa, szmat, krzyk, augur, Mann, gra, Jamy, elegantka, rabeł, alkad, Ursyn, araby, opcja, S Z Y F R:

Kto czeka na swoją chwilę, winien być łagodny jak baranek.

Henryk Mann „Młodość Henryka IV”

Nagrodę wylosował Gustaw Sobiesiak, ul. Żółkiewskiego 15 m. 15, 70-346 Szczecin.

Dokończenie ze str. 3

ginalnego, robiącego z roku na rok coraz lepsze filmy. „Magnat” jest dziełem o światowym oddechu, zasługującym w pełni na przyjęcie przez światową widownię.

Co więcej — jest „Magnat” filmem wychodzącym wysoko ponad dotychczasowe, stereotypowe jakże często, widzenie wielu spraw z polsko-niemieckiego pogranicza. Gdyby nie „Matka Królów” zasługiwałby na „Złote Lwy Gdańskie”.

Jeśli zaś chodzi o „Matkę Królów” to już od chwili zaprezentowania jej (w trzecim dniu festiwalu) na ekranie — nie było chyba dla nikogo wątpliwości, że otrzyma ona główną nagrodę.

Nakręcony w 1982 r. przez Janusza Zaorskiego film, który pięć długich lat przeleżał na półkach (od momentu napisania przez reżysera — scenariusza tego filmu po jego oficjalną premierę upłynęło aż piętnaście lat!), zyskał niezwykle gorące przyjęcie. Dlatego, że jest to naprawdę film doskonały: świetnie wyreżyserowany i zagrany, podejmujący niezwykle istotne problemy dotyczące naszej historii najnowszej. A najbardziej: dramatycznego okresu od końca lat czterdziestych do połowy lat pięćdziesiątych. Tego „okresu błędów i wypaczeń” — jak się zwykło w sposób dość „eufemiczny” go określać. Lat wielu tragedii ludzi zwyczajnych, jak i tych szóstokroć z władzą związanych.

Nakręcone w oparciu o napisaną u początku drugiej połowy lat pięćdziesiątych znana powieść Kazimierza Brandysa pod tym samym tytułem, jest dzieło Janusza Zaorskiego jakby filmowym dokumentem, przedstawia-

jącym losy (przedwojenne, okupacyjne i powojenne, aż po Październik 1956 r.) robotnicy Lucji Król Matki czterech synów, walczącej o przeżycie, o wychowanie swoich dzieci, a przez cały czas także — o zachowanie własnej, ludzkiej godności, o życie zgodne z zasadami moralnymi i etycznymi, jakie jej wpojono w dzieciństwie i w jakich ukształtowała się w młodości.

Jest równocześnie „Matka Królów” filmem o wypaczeniach władzy, o okolicznościach i przesłankach prowadzących do jej zwyrodnienia: do takiego momentu, gdy już zarówno rządzeni, jak i rządzący zaczynają żyć w bezustannym uciemieniu i strachu. Coraz szybciej tocząca się lawina wzajemnej podejrzliwości, oskarżeń, nieufności, prowadzących do procesów o nie istniejące przewinienia, opartych na sflingowanych dokumentach i kłamliwych oskarżeniach, także nieprawdliwych samooskarżeniach spowodowanych torturami psychicznymi i fizycznymi, rozsypane się nagle — w okresie Października 1956 r. Ale czy do końca wszystko zostało „oczyszczone”, czy nie istnieje niebezpieczeństwo odrodzenia się zła? — wydają się pytać twórcy filmu.

Film Zaorskiego został nakręcony na czarno-białej taśmie, w stylizacji filmowej połowy lat pięćdziesiątych, a doskonale wmontowane autentyczne zdjęcia z filmowych kronik z tamtego okresu podnoszą jeszcze skalę tonu jego przesłania.

Sukces kilku odnotowanych tutaj filmów nie stanowi, niestety, o korzystnym obrazie calekształtu o b e c n i e tworzącego się polskiego kina.

I niestety, postawione na początku pytania: dokąd zmierza polskie kino, pozostaje wciąż bez odpowiedzi.

Mirosław Derecki

Dokąd zmierza polskie kino?

Trudne pytania grupy U2

CZY zespół rockowy może być zainteresowany sprawami polityki i stosunkami społecznymi w dzisiejszym, mocno podzielonym świecie? Ależ tak, irlandzki kwartet U2 jest tego dowodem. Bono i jego koledzy dowiedli, iż nie są im obojętne problemy współczesnego świata. Nie mają oni, rzecz jasna, klarownej koncepcji jego uzdrawniania. Chcą jednakże, poprzez zadawane pytania, skłonić do dyskusji nad perspektywami człowieka, zdominowanej do rozmów na temat sensu i celu życia. Takim zamiarom sprzyja repertuar najnowszych longplaya „The Joshua Tree”

U2 to nazwa amerykańskiego samolotu wywiadowczego, zestrzelonego w 1960 roku nad terytorium Związku Radzieckiego. Taką też nazwę przyjął utworzony w 1976 roku kwartet muzyczny z Dublina. Tworzyli go wówczas młodzi ludzie, zainteresowani punkowym fermentem w show businessie. Paul Hewson, który przyjął wkrótce pseudonim Bono, próbował śpiewać. Larry Mullen grał na perkusji, Adam Clayton najlepiej czuł się z gitarą basową, a David Evans, do którego przylgnęła etykieta the Edge, grał na gitarze.

Ten skład borykał się cztery lata z przeciwnościami losu, nim zarejestrował w końcu 1980 roku album „Boy” dla firmy „Island”. Wiele się wtedy pisało o U2. Niektórzy krytycy, zirytowani brzmieniem kwartetu Irlandczyków, nazwali ich postpunkowymi poplucznymi. Nie przypuszczali jednak, że kapela Bono zdolna jest do przeobrażeń, które zrewolucjonizują muzykę pop. Mało kto w owym czasie realnie ocenił zdolności kwartetu. On zaś wykazywał coraz większą aktywność.

W rok po debiucie ukazała się druga płyta Irlandczyków, zatytułowana „October”. Zyskała doskonałe recenzje, z których najbardziej skromna twierdziła, iż U2 nie śpiewa ustami, lecz sercem. Był to, jak się później okazało, zaledwie przedsmak uczty, zgotowanej na następnym krążku — „WAR”. Lokomotywa płyty, określa-

jąca po części jej charakter, stał się przebój „Sunday Bloody Sunday” sięgający do wydarzeń 1972 roku, kiedy to oddziały brytyjskie wkroczyły do Ulsteru i otworzyły ogień do nie uzbrojonych grup katolickich demonstrantów.

Agresywne piosenki, nazywane rzeczy po imieniu, odwołujące się do ludzkich sumień, zaskoczyły krytyków Bono i jego przyjaciele nie byli już grupką rozwrzeszczanych koleśków zabawiających się w demonstrowanie nierównoważonych charakterów. Nieoczekiwanie przeobraziło się w mistrzów wzruszenia, artystów wygrywających z pomocą rock and rollowych fraz bogate intelektualne utwory, piosenki-symboli.



Repr. Adam Trochimiuł

„War” dotarł w początkach 1983 roku na pierwsze miejsce najlepiej sprzedawanych albumów w wielu krajach, a nawet zepchnął z wierzchołka samego „Thrillera” Michaela Jacksona. Nikt już nie miał wątpliwości, że członkowie U2, wspomniani przez zdolnego producenta Steve Lillywhite’a, stworzyli dzieło wyjątkowe w historii rocka. Odezwały się nawet głosy, iż U2 pragnie zbawić Irlandię. Bono nie był o tym przekonany, bo poszukiwał nowych metafor do przedstawiania trapiących go myśli, nowych środków wyrazu.

Z tych poszukiwań narodziła się podwójna, równie platynowa, płyta — „Under A Blood Red Sky”. Treści polityczne i moralne, prezentowane dotąd w zawalowanej formie, dały o sobie znać z całą siłą. Bono jawił się fanom idaliasta, walczą-

ym pieśnią o naprawę świata. Brało się to do części z wypowiedzi wokalisty podkreślającego wiarę w siłę muzyki. Bono apelował do ludzi dobrej woli o otwarcie serc o refleksję nad własnym, często cynicznym postępowaniem. Utrzymane w tym tonie piosenki straciły dawno charakter przebojów do tańca. Stały się natomiast formą dialogu ludzi różnych wyznań i poglądów. Bono nasycał swe utwory motywami biblijnymi, odczytanymi łatwo przez zachodnią publiczność.

Koncerty U2, przyjmowane owacyjnie, przerażały się w kilkugodzinne misteria z Hewsonem w roli apostoła prawdy i moralnej czystości. Cechą każdego występu było poczucie jedności między słuchaczami i wykonawcami. Na estradzie śpiewał Bono o nikomu niepotrzebnych wojnach religijnych, strajkach uciskanych górników, przemocy, oglupiającej zarazy narkomanii, podświadomym sumieniu i potrzebie obudzenia się z letargu. Publiczność chłonęła te treści, poruszona żarliwością moralnych manifestów grupy. Dość powiedzieć, że bilety na amerykańskie tournée U2 sprzedane zostały kilka miesięcy wcześniej.

Z wędrówek po Ameryce i rozterek, jakich nastęrczały skrajności polityczne i społeczne tego bogatego kraju, narodziła się szósta, najlepiej sprzedawana płyta Irlandczyków — „The Joshua Tree”. Odwołują się w niej oni do miasta z kalifornijskiej pustyni, gdzie zmarł przed laty popularny muzyk bluesowy Gram Parsons. Charakter muzyki tego wydawnictwa jest pozornie spokojny i prosty. Dopiero po drugim lub trzecim przesłuchaniu odnajdujemy w brzmieniu grupy hionotyczny rytm, fantastyczne zgola zagrania i bogate smaczką aranżacyjne U2 poruszająca się własnymi ścieżkami, gra muzykę, która nie przystaje do żadnego stylu, nie koresponduje z modnymi trendami. Niesie ona z sobą ekspresję i gwałtowność, jakiej nie znalazłem na żadnej płycie nne-go wykonawcy. Porywającemu słuchacza rytmowi towarzyszą dyskursywne teksty piosenek. Protestuje w nich Bono przeciwko interwencji USA w Ameryce Środkowej, przypomina strajk brytyjskich górników, opisuje rozpacz matek po stracie ginących w tajemniczych okolicznościach synów, próbuje powstrzymać narkomanów przed następnym zastrzykiem heroiny. „The Joshua Tree” jest płytą nieprzeciętną, skłaniająca do przemyśleń i rozważań nad zagrożeniem, jakie niesie nam cywilizacja. Bono nie oczekuje natychmiastowej odpowiedzi. Pozostając idealistą, jeszcze raz zadaje trudne, choć przejrzyste dla wrażliwych osób, pytania.

Istvan Grabowski

Samo życie (hotelowe) w Warszawie

Piotr Beck

ZAWSZE żywiłem do Warszawy uczuciami nader mieszane. Z jednej strony — „wiadoma rzecz stolica”, z drugiej zaś — nigdy jakoś nie mogłem poczuć się tam jak w domu. No, może poza krótkim zamieszkiwaniem w akademikach SGPiS przy Madalińskiego. Działo się tak z nader prozaicznej przyczyny — trudności w znalezieniu odpowiedniego noclegowego lokum, co ukazywało mnie z góry na frytujące uczucie frustracji.

Przyjaciół, owszem, mam tam kilku, nadużywanie jednak ich domowej gościnności nie zawsze bywa pożądane. Elekroć więc zapalały się wieczorne światła nad stolicą, a na ulicach wraz ze zmierzchem zamierał ruch, stawał mi przed oczyma obraz pana Zagłoby, któremu już w siedemnastym wieku „miasto skąpiło kwatery”.

Pierwszą noc, jak pamiętam, spędziłem w Fukiera, drugą w innej winiarstwie, co dziś jest rzeczą niemożliwą, jako, że winiarnie zamykają o 22., służby do układania w wasagu brak, a sily porządkowe nie tolerują sypania byle gdzie. Zagłobę wybawił z kłopotu Ketling, dziś natomiast nawet spolszczeni cudzoziemcy nie dysponują kwatarami, a raczej sami ich potrzebują. Z konieczności więc moje wypady do serca Polski kończyły się w nocnym pociągu, unoszącym mnie smętnie do Kozlego Grodu.

Ostatnio zmusiły mnie jednak powinności zawodowe do wahadłowego niemal kursowania między Lublinem a stolicą, czego nie dało się opędzić jednodniowym wypadem. Poznałem więc świat warszawskich hoteli; świat, który wydał mi się tyleż frapujący, co i godny pożalowania. Boje o nocleg rozpoczynały się już na kilka dni przed planowanym terminem wyjazdu. Bezskutecznie.

Ktoś poradził mi, by rezerwację zacząć dokonywać na miejscu, tj. poszukać kogoś, kto jest w recepcjach bywały, zna panią Zosię i panią Krysię, a nawet kierownika G. No i udało się. Znal kierownika tyle, że w „Forum”. Pod mostem spać nie mogłem (śpiwo ry przekazał mi naprawdę potrzebującym), mimo więc przeczuwanej niechęci kolegowości do realizowania zwrotów wyższych niż przeciętna, propozycję przyjąłem.

I zakotłowałem przede mną obraz wieczornego półświatka, podrygujący w blasku „prawdziwego” wielkiego świata. Obcojęzyczny tłum, rozpachniony „Tabacami” i „Old Spiceami”, perfumami „Smitty” i „Opium”, i drobni niedogoleni żule chwytający za rękawy dolarowych turystów z sakramentalnym „czelndz mam”. Przy stojne panienki rozparte chlebotliwym grupkami na skórzanych fotelach w hallu, tu i ówdzie jakaś znana krajowa gęba i beżblędnie szacujący „jakość” gościa wzrok ciecia w libesie

à la Leśnik. Znane to sprawy i nie o nie tu chodzi.

Pokój jak pokój. Generalnie czysty, ręczniki budzą zaufanie, szampon w małych plastikowych poduszeczkach dostępny, ale... Zachwalana szeroko w każdym dostępnym miejscu klimatyzacja, motywująca zakaz otwierania okien, nie poddaje się nijak żadnej regulacji i więcej wciąga tym samym letnim powietrzem. Telewizor sprzężony jest z dużą stojącą lampą i bez jej włączenia nie ukazuje obrazu, o jakości notabene pierwszych eksperymentów braci Wright. Czy gbałość to o wzrok gościa, czy skomplikowane tajemnicze technicznej doskonałości? Radio, wbudowane w przyłóżkowe biurko, z czterech oferowanych zakresów, funkcjonuje wybiórczo, a od 22. do 6. w ogóle zawieszona swą działalność.

Prawdziwy wszakże luksus zaferował mi apartament w hotelu „Metropol”, kiedy to rezerwacji w hotelu „Wera” bezczelnie się wyparto, a Dom Nauczyciela odmówił zakwaterowania człowieka nie z brzozy...

Rzeczony „Metropol” to najbardziej znany na całym Bliskim Wschodzie warszawski odnośnik. Pokryte tłustymi plamami dywany, pocięte żyletkami obicia foteli, zastonki okrywające jedną trzecią obna poplamiona kanapa, popsuty telewizor, na wpół zużyte mydelka i szare ręczniki rzucone na kupe — wszystko to może bez wątpienia zaspokoić potrzebę nagłego towarzyskiego kontaktu, z całą jednak

pewnością nie nadaje się na wizytówkę turystycznych możliwości naszego kraju. A może tak? Może właśnie wespół ze wspaniałą reklamą, sprawnością usług, rozbudowaną bazą i nadbudową stanowią zreformowaną koncepcję gromadzenia tak potrzebnych dewiz i propagowania kraju, który z powodu konkurencyjności cen od lat przesypia szansę nabijania kasy na powszechnym zjawisku przemieszczania się światowej populacji. Wraz z wszechobecnym brudem, niesolidnością zobowiązań, piętrzącą biurokracją nigdy nie zdolamy pochwytać żadnej turystycznej szansy.

A najgorzej wygląda to właśnie w stolicy. Czekanie do północy na gości z drugiego obszaru płatniczego, rezerwowanie pokoi dla znajomych i nie istniejących VIP, reagowanie dopiero na wsunięty w dowód banknot o odpowiednim nominale — wystawia prawdziwe świadectwo naszym orbisowi i pozaorbisowi speciem od turystyki. Obraz uzupełnia obkurkne Okęcie i niesolidność rezerwacyjna LOT-u. Nawet pięćdziesiąt nowych hoteli nie tu nie pomoże.

A ja, skoro już dopłacam z własnej kieszeni do służbowych delegacji, też chciałbym się wypaść w porządnym warunkach.

A może by tak dla urzędników od norm i rewidentów z hotelarskiej branży zorganizować w stolicy jakiś niezaplany kongres? Nic z tego, pan W. zna przecież świetnie kierownika G.

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji) członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Wiesław Horabik, Tadeusz Jasński (sprawy literackie), Ireneusz J. Kamiński, Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Barbara Caban.

Redakcja nie wraza materiałów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo skrótów. Druk Lubelskie Zakłady Graficzne im. SKWN w Lublinie ul. Unicka 4. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa — Książka — Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 4, tel. 234-34. Adres redakcji: 20-028 Lublin ul. Skłodowskiej 21. Telefon: sekretariat redaktor naczelny 233-93, sekretarz redakcji 218-93, dział publicystyki i korespondentów 233-35. Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-960 Lublin, skrytka pocztowa 231, polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.